

Porucznik rezerwy Stanisław Urbanik  
(1912 – 2001)

**Wspomnienia obozowe  
z pobytu w niewoli niemieckiej  
(1939 – 1945)**

Wspomnienia spisane w Olkuszu  
w latach 1993 – 1994

Autor wspomnień, inż. Stanisław Urbanik,  
zmarł w dniu 12 maja 2001 r.  
i jest pochowany na cmentarzu w Olkuszu.

Nadmieniam na wstępie, że będą to osobiste przeżycia i wspomnienia z obozów na tle życia obozowego. Jeśli ktoś jest chętny do bliższego poznania życia i organizacji obozów oficerskich to odsyłam go do dwóch opracowań: 1. „Refleksje Obozowe” – generała Józefa Kuropieski, 2. „Oflag II C – Woldenberg” – Jana Olesiaka.

Pierwszy obóz jeniecki, w którym się znalazłem to oflag XI B w Braunschweigu, gdzie po przeprowadzeniu formalności ewidencyjnych otrzymałem numer 121/ XI B, pod którym figuruję w dokumentach Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, jak również w Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach.

Po dokonaniu wszystkich formalności związanych z ewidencją i rewizją osobistą, zostaliśmy skierowani do budynków koszarowych ze wskazaniem numeru budynku i numeru izby koszarowej. Wspomniane izby, wyposażone były w jednopiętrowe łóżka metalowe z pościelą, składającą się z materaca, dwóch prześcieradeł, poduszki pod głowę i dwóch koców. W każdej izbie był duży stół, krzesła, taborety oraz umywalka z ciepłą i zimną wodą. Na korytarzu były szafki drewniane zamykane dwudrzwiowe, przy czym każdy miał do dyspozycji połowę szafki z oddzielnymi drzwiami i zamknięciem.

Oprócz tego, na każdej kondygnacji budynku była umywalnia z kilkoma umywalkami, dwie kabiny natryskowe oraz ubikacja z bieżącą wodą. W piwnicy budynku znajdowały się betonowe „zlewozmywaki” z bieżącą wodą, do zmywania naczyń po jedzeniu. Były to zatem nowoczesne koszary wojskowe.

Ja zostałem skierowany do pierwszego budynku koszarowego – do izby, w której było dwanaście łóżek, dla tylu „mieszkańców”. Władek Roterman i prof. Innocenty Libura skierowani zostali do innego bloku.

Z ówczesnych współmieszkańców zapamiętałem tylko kilka nazwisk. Byli to ppor. Piotr Kiżewski, por. kaw. Rogatko, ppor. Krzywosiński, ppor. Kaczorowski, por. mgr farmacji Chojnowski i chorąży Kochanowski, który był „osobistym” ordynansem Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Chorąży Kochanowski opowiadał mi o życiu Marszałka w Belwederze. Jednym z takich opowiadań była historia ze spodniami Pana Marszałka: „Pan Marszałek miał tylko jeden mundur i nie zwracał uwagi na jego stan. Gdy najbliżsi zauważyli, że spodnie na kolanach ma przetarte i „obstrzępione” nogawki, przysłali do Marszałka krawca, aby wziął miarę i uszył mu nowe spodnie. Gdy przyszedł krawiec Marszałek zdenerwował się i wyrzucił go za drzwi mówiąc: „Co chcecie! Aby państwowe pieniądze wydawał na mundur – ten jeszcze mnie przeżyje”. Ale najbliżsi nie dali za wygraną i zawołali krawca wieczorem, gdy Marszałek poszedł spać, aby przez noc uszył nowe spodnie. Krawiec zabrał się do roboty, ale musiał częściowo „popruć” stare spodnie, aby wziąć dokładną miarę. I tak kroił i szył całą noc w pobliskim pomieszczeniu w Belwederze. Nad ranem spodnie były już całkiem gotowe i tylko trzeba było podwinąć nogawki. Gdy krawiec skończył podwijanie jednej nogawki, Marszałek obudził się nieco wcześniej niż zwykle i krzyknął na chorążego: „Gdzie są moje spodnie?”. Zapanowała panika, a gdy Marszałek krzyknął ponownie: „Spodnie! gdzie moje spodnie?” – chorąży chwycił te niepodwinięte spodnie i podał Marszałkowi. Ten włożył spodnie i nawet nie zwrócił uwagi, że jedna nogawka jest dłuższa. Tak chodził cały dzień. Dopiero gdy Marszałek poszedł spać krawiec dokończył swe „dzieło”.

Pod koniec życia – Marszałek chodził po swoim gabinecie i mrucał: „Jak mnie braknie to te złodzieje rozkradną tę biedną Polskę”. Marszałek nie pobierał pensji, a gdy przyszedł raz kasjer z pensją i prosił

żeby Marszałek podpisał listę płacy, to Marszałek wyrzucił go za drzwi mówiąc: „Mnie wystarczy jak Polska daje mi jeść i mundur na plecy – to mi wystarczy”. Powtórzył to kilka razy.

Z chorążym miałem trochę śmieszny incydent, bowiem miał bardzo silny ciemny zarost na twarzy i żeby jakoś wyglądać, musiał golić się dwa razy dziennie. Moje znowu włosy na głowie zaczęły mi mocno wypadać i dlatego kupiłem w kantynie, płyn na porost włosów, którym nacierałem głowę na noc. Płyn ten zostawiałem na oknie – przy łóżku. Wchodząc raz do izby zauważyłem że chorąży po ogoleniu się naciera sobie twarz moim płynem na porost włosów. Mimo iż początkowo „zalała mnie nagła krew” – zacząłem się głośno śmiać! „Z czego się pan śmieje poruczniku, zamiast mnie obrugać?” – powiedział chorąży. „Bo to jest płyn na porost włosów – odrzekłem – i będzie Pan miał jeszcze lepszy zarost i zamiast golić się dwa razy dziennie będzie się Pan golić trzy razy dziennie”. Skutek był natychmiastowy – delikwent podbiegł do umywalki i zaczął zmywać z twarzy pachnący płyn. Odtąd płynu w butelce nie ubywało! Po miesiącu chorążego przeniesiono do obozu żołnierskiego, gdyż według Niemców – stopień chorążego nie zalicza się do stopni oficerskich.

Pierwsze dni pobytu w izbie były dniami wzajemnego poznawania się i nawiązywania bliższych znajomości. Już po kilku dniach wspólnego mieszkania, życie zaczęło układać się normalnie. Rano pobudka, potem śniadanie, apel przed budynkiem, wolny czas do obiadu, obiad, oczekiwanie na kolację. W międzyczasie spacer po koszarowych drogach a potem spanie. Najważniejszym problemem było wyżywienie, które było bardzo marne jak na nasze zdrowe żołądki. Dzienna porcja chleba 300 gram; na śniadanie „Mehlsupka” 1/2 litra; na obiad „Eintopf” – w postaci wody i pływających po niej kostek krojonej brukwi lub marchwi i trochę ziemniaków; na kolację jakaś zupka i napój. Dodatki – to 20 gram

margaryny i 100 gram twarogu lub marmolady – dziennie.

W parterowym budynku, przed naszymi oknami była kuchnia i sklepik z różnymi drobiazgami osobistego użytku, a także piwo i od czasu do czasu pojawiały się ślimaki w sosie pomidorowym.

Ponieważ Niemcy wypłacali nam żołd zgodnie z Konwencją Genewską, dlatego mieliśmy możliwość nabycia drobiazgów osobistego użytku jak i części bielizny osobistej. Piwa często brakowało. Tam kupiłem małą walizkę na drobiazgi, jak mydło do golenia, pędzel, maszynkę i żyłki do golenia, gdyż nie posiadałem nic oprócz munduru.

Po jakimś czasie walizeczka zaczęła się napełniać, ale w żołądku było coraz więcej miejsca na jedzenie. Paczki bowiem jeszcze nie dochodziły do obozu. Jedyńm ratunkiem w tej sytuacji były jabłka, które były dostarczane do obozu przez prywatnych dostawców. Mogliśmy ich tyle zjadać ile kto potrafił. Nie było ograniczeń w zakupie. Oczywiście trzeba było za to płacić gotówką. Mieliśmy pieniądze obozowe tzw. „lagermarki”, które były środkiem płatniczym na terenie obozu. Dostawcy wymieniali „lagermarki” na normalne Reichsmarki w Komendzie niemieckiej obozu.

Nigdy przedtem, ani potem nie zjadłem takiej ilości jabłek jak w okresie jesień – zima 1939/1940 r. To dawało możliwości zaspokojenia głodu i utrzymania się w znośnej kondycji fizycznej. Dostawa paczek z kraju nie była jeszcze zorganizowana, a szczególnie z terenów przyłączonych do Rzeszy. Natomiast z Generalnego Gubernatorstwa wolno było wysyłać paczki o wadze nie większej niż 250 gramów. „Brat Polak” zawsze jakoś sobie jednak poradził! Takim pierwszym szczęśliwcem w naszym pokoju był por. Chojnowski, któremu żona zaczęła przysyłać z Warszawy jedną 200 gramową razową bułeczkę – co drugi dzień. Bułeczki te szły z Warszawy cały tydzień i były suche jak

kamyczki, tak że nie można było ugryźć ani też ich przekroić. Porucznik nie wiedział co z tym zrobić i miał zamiar to wyrzucać. Moja interwencja temu jednak przeszkodziła. Zawarłem z nim taką umowę, że ja doprowadzę bułeczki do świeżości w zamian za podział: „jeden na jeden”. On zje jedną bułeczkę a ja też jedną. Umowa została zawarta! Gdy otrzymał kolejne dwie bułeczki – wziąłem je, zawinałem w wilgotną ściereczkę a następnie w gazetę i poszedłem z tym do kuchni obozowej. Tam poprosiłem kucharza, aby włożył to „zawiniątko” do gorącego piekarnika na 15 minut. Po tym czasie wyjąłem bułeczki z piekarnika i biegiem do pokoju. Tam odwinałem bułeczki, które były ciepłe i miękkie jakby dopiero je upieczono. Trzeba było je zjeść w krótkim czasie bo ponownie twardniały. Taką „operację” przeprowadziłem parokrotnie, co pozwoliło mi skonsumować kilka bułeczek na przestrzeni krótkiego czasu. Kiedy ja otrzymałem pierwszą paczkę z domu, trudno mi teraz ustalić, ale prawdopodobnie było to na wiosnę 1940 roku, gdy do rodziców dotarła pierwsza moja przesyłka pieniężna w wysokości 90 RM, które Niemcy wysłali jako mój depozyt zabrany przy rewizji osobistej, który wyniósł 180 złotych polskich. Tu należy podkreślić solidność Niemców, gdyż każdy zdeponowany „grosz” przez naszych oficerów został przesłany na wskazany adres!

Ale życie jest życiem i nie tylko chlebem żyje człowiek. Każdy z nas na swój sposób zaczął wypełniać wolny czas, którego było wiele. Jedni zaczęli grać w karty, inni zaczęli organizować imprezy – „coś dla śmiechu”, a jeszcze inny postanowili wykorzystać ten wolny czas na pogłębianie swoich wiadomości zawodowych. Jednym z tych w naszym pokoju, co zabrali się do nauki był Piotr Kiżewski, który od pierwszych dni zaczął kupować książki techniczne i pogłębiać swoją wiedzę. Był elektrykiem po szkole „Wawelberga” i pracował w firmie montującej

urządzenia elektryczne przy zaporze w Rożnowie. Jakie fachowcy „jednej branży” – zostaliśmy szybko przyjaciółmi. Mówił do mnie „Stasiu nie trać czasu i korzystaj z okazji, aby zapoznać się z postępową wiedzą fachową – to ci nie zginie. Wojna kiedyś się skończy, a jak będziesz miał więcej wiadomości w swym zawodzie to wszędzie otrzymasz pracę”. Posłuchałem go i kupiłem kilka książek z elektrotechniki i wziąłem się do ich studiowania. Ponieważ z moją „niemczyzną” było trochę słabo, mimo iż w szkole miałem piątkę z niemieckiego i pracowałem w zakładzie, gdzie język niemiecki był używany, kupiłem słownik niemiecko-polski i wziąłem się ostro do pracy. Piotr pomagał mi w tym dosyć dużo!

Gdy na terenach polskich zajętych przez Niemców sytuacja nieco się ustabilizowała, postanowili oni uruchomić budowaną elektrownię w Rożnowie. Ponieważ Piotr był kierownikiem tej budowy w 1939 roku, jego firma wystąpiła z wnioskiem do Niemców, o zwolnienie Piotra z obozu i zatrudnienie go przy montażu elektrowni. Pod koniec marca 1940 roku Piotr został zwolniony z obozu i zatrudniony w Rożnowie. Wielu kolegów miało mi to za złe, ale jak się w konsekwencji okazało, tenże Piotr Kiżewski ocalił elektrownię Rożnów i zaporę wodną przed zniszczeniem przez Niemców w 1945 roku. Ryzykował wiele, gdyż w przypadku ujawnienia przez Niemców jego działania, groziła mu śmierć i tym ludziom – Polakom, którzy z nim współpracowali. Po wojnie został za ten czyn odznaczony Złotym Krzyżem zasługi i Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.

Pozostali współmieszkańcy nie bardzo garnęli się do wiedzy i woleli spędzać wolny czas w inny sposób. Ja korzystając z uwagi Piotra, nadal kupowałem książki techniczne i pilnie studiowałem te fachowe książki, ale również angażowałem się w inne kierunki życia obozowego.

Już na początku grudnia 1939 roku, porucznik Stefan Podebny –

oficer zawodowy – mieszkający w tym samym co ja bloku, zaczął organizować kółko modlitewne, do którego mnie również wciągnął. W umówione dni – wieczorem – zbieraliśmy się w świetlicy na drugim piętrze i odmawialiśmy różaniec, a potem śpiewaliśmy pieśni kościelne. Było nas w tej grupie kilkanaście osób, a grupa ta utrzymywała się do czasu przeniesienia nas do Woldenbergu. I tak zaczęło płynąć to duchowe życie. Gdzieś w połowie grudnia 1939 roku, Niemcy zezwolili katolickiemu księdzu z Braunschweigu na odprawienie niedzielnej mszy w hali sportowej. Był to zacny ksiądz, który po każdej mszy wygłaszał homilię po niemiecku, którą tłumaczył docent Górski. Gdy pewnej niedzieli ksiądz ten wygłosił patriotyczną homilię, podtrzymującą nas na duchu, Niemcy zabronili mu dalszego odprawiania mszy w obozie. Po interwencji naszego „najstarszego obozu” w komendzie niemieckiej, przywrócono niedzielne msze, ale zabroniono wygłaszania homilii. Dobrze było i takie rozwiązanie, gdyż każdy z nas wierzących mógł uczestniczyć w niedzielnej mszy.

Od samego początku pobytu w obozie toczyły się dyskusje i spory na temat wojny polsko-niemieckiej i sposobu jej prowadzenia. Były na ten temat różne głosy, szczególnie wśród oficerów rezerwy. Aby wyjaśnić pewne zasady „wojowania” – kapitan dyplomowany Józef Kuropieska, późniejszy generał LWP – zorganizował pogadankę na ten temat. Ponieważ obdarzony był „ostrym językiem”, na koniec pogadanki wygłosił takie zdanie: „Znajdzie się taki „gnojek rezerwista”, który chce dowodzić armiami nie mając o tym zielonego pojęcia”. Po tym spotkaniu cała rezerwa była oburzona taką wypowiedzią i zorganizowała zbiorowy protest polegający na tym, że gdy kpt. Kuropieska ukazał się na drodze obozowej, ze wszystkich okien odzywał się okrzyk – „gnojek” . Trwało to kilka dni. Jednego dnia kpt. Kuropieska stał przed oknem naszego



pokoju – nagle zza wszystkich prawie okien odezwały się głosy: „gnojek”. Kapitan nie wytrzymał tego nerwowo i „ryknął” na całe gardło: „chamy” i okrasił to jeszcze „kuchenną łaciną”. Od tej pory akcja „gnojek” zakończyła się.

Jak człowiek ma za dużo wolnego czasu, to dla urozmaicenia musi zawsze coś wymyśleć. Otóż nastąpiła moda na zapuszczanie brody i wąsów na wzór legionistów internowanych w Beniaminowie. Ja również zapuściłem sobie brodę, bo wąsy już miałem, ale taką krótką i zrobiłem sobie zdjęcie, które mam do chwili obecnej. Trzeba przyznać, że niemiecka komenda obozu zezwalała fotografom na robienie zdjęć osobistych wewnątrz pomieszczeń. Oczywiście za zdjęcia te trzeba było płacić „Lagermarkami”. Było dwóch fotografów – jeden cywil i jeden żołnierz, który uprzednio robił każdemu z nas zdjęcie do ewidencji jenieckiej z numerem ewidencyjnym. Prawie co dziesiąty oficer zapuszczał brodę i robił sobie zdjęcie. Ale jak to bywa z modą, ma ona początek i koniec! Tak też było z naszymi „brodacami”. Ktoś zorganizował akcję „antybrodową”, podobną do akcji „gnojek” a hasłem było słowo „biber”. Jeśli na drodze obozowej ukazał się ktoś z brodą to z okien odzywały się okrzyki: „biber”! Krzyki te rozchodziły się po całym obozie. Niemcy nie wiedzieli o co rzecz idzie i stali się trochę nerwowi, a nawet wzmocnili posterunki, gdyż sądzili że oficerowie protestują w ten sposób na brak piwa w kantynie, (piwo po niemiecku „Bier”) i uspakajając krzyczących mówili, że „Bier” (piwo), będzie szybko dostarczone. Gdy jednak dowiedzieli się na czym rzecz polega – „pękali ze śmiechu”.

Zima szybkimi krokami zbliżała się do Braunschweigu, a żołnierze i cywile, którzy przyjeżdżali do obozu twierdzili, że tutaj zimy prawie nie ma. Jest trochę deszczu ze śniegiem oraz niewielki mróz. Aura sprawiła

jednak niespodziankę – zima zrobiła się mroźna i śnieżna, jakiej nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Braunschweigu. Śniegu napadało prawie do jednego metra, a temperatura spadła do minus 15 °C. Nam w koszarach zima nie dokuczyła. W budynkach było centralne ogrzewanie i było ciepło. Niemcy starali się szybko załatwić apele a my ograniczaliśmy swój czas spaceru.

Taka sytuacja zmusiła wielu oficerów do zajęcia się czymś „pożytecznym” chociażby tylko dla „zabicia czasu”. Szybko też zaczęło rozwijać się życie kulturalne w różnych kierunkach, w zależności od zawodu jaki prezentowały poszczególne grupy. W obozie bowiem byli oficerowie rezerwy z tytułami profesorskimi, pracownicy naukowcy różnych profesji, a także duża rzesza oficerów różnych zawodów z wykształceniem średnim i wyższym. Trzeba tu nadmienić, że w okresie Drugiej Rzeczypospolitej, posiadanie średniego wykształcenia dawało uprawnienia do uzyskania stopnia oficerskiego i umożliwiało zajmowanie kierowniczych stanowisk w przemyśle i administracji. Tu w obozie – podnoszenie swych kwalifikacji zawodowych było możliwe dzięki prywatnym niemieckim dostawcom z Braunschweigu, którzy starali się, aby nie brakowało nam książek, materiałów piśmiennych, a także instrumentów muzycznych. Był to dla nich nowy rynek zbytu, gdyż za wszystko trzeba było dobrze płacić. Wielu oficerów zakupiło różnego rodzaju instrumenty muzyczne i zaczęło organizować się w zespoły muzyczne. Zaczęło się zatem „muzykowanie” na całą parę. W naszej izbie nie było nikogo kto miałby chęć „muzykowania”. Ja miałem ochotę kupić skrzypce i kontynuować „muzykowanie”, gdyż grałem kiedyś w orkiestrze smyczkowej gimnazjalnej na altówce. W domu miałem skrzypce i mandolinę. Często w domu „muzykowaliśmy”: ja na skrzypcach, siostra na mandolinie a ojciec na flecie. Były to miłe chwile, które dotąd

pamiętam. W końcu jednak zrezygnowałem z kupna skrzypiec i postanowiłem kupić parę książek technicznych.

Jedną z ciekawych pozycji, nie spotykanych na polskim rynku księgarskim, była książka pod tytułem: „Graficzne metody projektowania sieci energetycznych wysokiego napięcia”. Zacząłem mozolnie tłumaczyć tę książkę i zapoznawać się z tego rodzaju metodami obliczeń. W zasadzie Niemcy nie wtrącali się w nasze życie obozowe, ale były to objawy pozorne, aby uśpić naszą czujność. Od czasu do czasu ulicami obozu przechodził oddział żołnierzy niemieckich śpiewających: „Wir fahren gegen England”, ale nam było to obojętne co śpiewają i nie było reakcji ze strony jeńców. Natomiast drugie zaplanowane przez Niemców posunięcie dało efekty. Otóż Niemcy ogłosili żeby oficerowie spisali w formie pamiętników swoje działania w czasie wojny polsko-niemieckiej, a te wyróżniające się prace będą wpisane do historii wojny. Nie szczędzili zachęty do pisania! Wielu zaczęło opisywać swoje „bohaterskie” wyczyny wojenne, ale ja nie mając aspiracji na bohatera wolałem tłumaczyć swoje książki techniczne. Jak się potem okazało – dla wielu piszących pamiętniki – stało się to tragedią. Po jakimś czasie od ogłoszenia tego apelu Niemcy nagle zrobili apel i obstawiwszy wszystkie bloki mieszkalne wojskiem, przystąpili do szczegółowej rewizji a szczególnie interesowało ich to co było pisane. Zabrali wszystkie notatki. W każdym pokoju było dwóch SS-manów, którzy zabierali wszystko co było pisane. Kolejno wywoływali mieszkańców każdego pokoju, który musiał otworzyć swoją szafkę oraz walizkę i wyjąć wszystkie notatki. Na zabranych notatkach, każdy musiał się podpisać i podać numer obozowy. Gdy przyszła kolej na mnie, otworzyłem walizkę i szafę, a jeden z nich wyjął z mojej szafy książki niemieckie oraz plik zapisanego papieru i zapytał mnie: „Was ist das”? Odpowiedziałem mu: „Das ist Übersetzung dieses Buch”

i pokazałem mu książkę techniczną. Ten pierwszy podał wszystko temu drugiemu, który spokojnie przeglądał notatki i książkę – kilkanaście stron, - a potem powiedział: „Ja, gut – bleiben” i oddał to pierwszemu. Ten oddał mi wszystko i kazał zamknąć szafę i wyjść na zewnątrz. Ten drugi prawdopodobnie znał język polski. Po rewizji zabrali z naszego bloku całe stosy zapisanego papieru. Później systematycznie zwracali te notatki, które nie miały dla nich jakiegoś znaczenia. Efektem tej rewizji było wywiezienie z obozu kilku oficerów, o których słuch zaginął. Nikt nie dowiedział się dokąd ich wywieziono. Prawdopodobnie tym sposobem Niemcy uzyskali nazwiska tych dowódców niższego szczebla dowodzenia, którzy w czasie działań wojennych zadali Niemcom największe straty. Po prostu postanowili ich za to ukarać. Nieszczęśnicy, którzy uwierzyli Niemcom i chcieli zostać bohaterami – stali się ofiarami nazizmu.

Po tym wstrząsającym zdarzeniu życie zaczęło powoli powracać do normy, a wielu oficerom wybiło to z głowy marzenie o bohaterstwie. „Mądry Polak po szkodzie” – mówi przysłowie, ale złośliwi wymyślili nowe przysłowie: „Lecz nowe przysłowie Polak sobie kupi, że jest przed szkoda i po szkodzie głupi”.

Spacerując pewnego razu z Władkiem Rotermanem, spotkaliśmy spacerującego samotnie podporucznika, którego Władek poznał już wcześniej, a był nim Broniek Drużny z którym później zaprzyjaźniłem się. Był on absolwentem Wydziału Górniczego PSGH w Dąbrowie Górniczej i pracował w kopalni „Rydułtowy”. Na wojnę nie był on zmobilizowany, lecz gdy wybuchła – i Niemcy byli już w Rybniku, uciekł w kierunku wschodnim – jak wszyscy! Tydzień przed wybuchem wojny wysłał żonę z synkiem do teściów do Skalbmierza, gdzie przeżyli całą wojnę. W tej ucieczce zawędrował aż pod Stanisławów, a gdy Rosja zaczęła zajmować te tereny, zaczął wracać w kierunku zachodnim. Pochodził z Sambora

i tam mieszkał jego ojciec. W Ustrzykach Dolnych przyłapali go Rosjanie i kazali mu uruchomić tartak, który tam się znajdował. Gdy zorientował się że bolszewicy wywożą Polaków na wschód, uciekł stamtąd do Przemyśla, skąd z grupą żołnierzy polskich – Ślązaków – przeszedł na stronę niemiecką. Mimo, iż był w ubraniu cywilnym, Niemcy zamknęli go w obozie żołnierskim. Tam przyznał się, iż jest oficerem WP i Niemcy przetransportowali go do Brainschweigu. Tak został żywym jeńcem, w niewoli niemieckiej, bo gdyby pozostał w swoich rodzinnych stronach w Samborze, na pewno podzieliliby los z tymi w Katyniu. Opowiadał nam też że starsi wiekiem Ślązacy, którzy pracowali w tej samej kopalni, ostrzegali go, że gdyby go tu Niemcy zastali po zajęciu Śląska, to żeby szybko wyjechał do „Liefniemiec”, „bo tu są bardzo niedobre ludzie – szczególnie te młode”. O negatywnym stosunku Ślązaków do Polaków przekonaliśmy się później.

Którejś wiosennej nocy 1940 roku zbudził nas huk dział i karabinów maszynowych oraz szum samolotów. Wyglądając zza zamkniętych okien widzieliśmy wspaniałe fajerwerki pękających pocisków w powietrzu i świecące pociski małych działek i karabinów maszynowych. Widowisko było piękne, patrząc zza szyby i siedząc bezpiecznie w koszarach, ale co innego, gdy się jest w zasięgu takiego ognia. Zauważyliśmy przy tym jak gęsto jest obstawiony Braunschweig obroną przeciwlotniczą. Po kilkunastominutowej kanonadzie wszystko ucichło, tylko widzieliśmy żołnierzy niemieckich biegających po terenie i zbierających jakieś papiery.

Rano okazało się, że był to samolot angielski, który zrzucał ulotki nad obozem, ale nic więcej nie można było wyciągnąć od Niemców. Podobno ktoś z naszych oficerów znalazł taką ulotkę, ale nic więcej nie było wiadomym. Z początkiem marca 1940 roku, zaczęły napływać

paczki żywnościowe z Francji, ale tylko na kilka nazwisk. Gdy nadal zaczęły napływać paczki na te same nazwiska Komenda Obozu zorientowała się, że są to paczki dla wszystkich jeńców. Zabroniła wielokrotnego odbierania paczek z Francji i ustaliła z Niemcami, że będą otrzymywali listy osób, którym należy wydać paczki. W międzyczasie jednak dotychczasowi adresaci mocno „obłowili się” w żywność. Później okazało się, że paczki były wysyłane przez Wojsko Polskie we Francji na przypadkowo znane nazwiska i przeznaczone dla wszystkich oficerów.

Do naszej izby jednak nie trafiła żadna paczka do chwili opuszczenia obozu. A cały „kłopot” zakończył się z chwilą wybuchu wojny z Francją. Wiadomym jest, iż wojna z Francją trwała tylko dziesięć dni. Nie pomogła linia Maginota, którą się tak Francuzi chwalili. Jak później dowiedzieliśmy się od oficerów polskich walczących we Francji, a którzy dostali się do niewoli niemieckiej i przysłani byli do obozu – to francuskie wojsko masowo rzucało broń i poddawało się do niewoli niemieckiej, a wojsko polskie było użyte do osłony odwrotu. Ludność Francji była tak „przepojona” propagandą hitlerowską, że pluła i rzucała kamieniami na Wojsko Polskie, krzycząc, że Polsce zachciało się wojny z Niemcami, a oni muszą teraz cierpieć. Wojna z Francją nie trwała długo i nie była tak uciążliwa jak w Polsce i jednostki bojowe niemieckie zaczęły powracać do swoich koszar.

Nasza „sielanka” w obozie Oflag XI B musiała się skończyć, gdyż mieszkaliśmy w budynkach koszarowych, do których miało powrócić wojsko niemieckie. Użyłem wyżej słowa „sielanka” bo rzeczywiście gdyby nie dokuczliwy brak żywności, można by powiedzieć, że był to przymusowy urlop – płatny. Warunki mieszkaniowe były bardzo dobre a i stosunek tamtejszych władz wojskowych niemieckich można by nazwać poprawnym w porównaniu z tym co działo się później w Oflagu

II C. Ale jak to mówi przysłowie: „co dobre to trwa krótko, a co złe to bardzo długo”, i o tym, dłużej się pamięta.

Nadszedł i nasz czas abyśmy „wynieśli się” z koszar. Pod koniec czerwca 1940 roku „wylądowaliśmy”, a dokładnie 26 czerwca, w Oflagu II C w Woldenbergu. Z Braunschweigu do Woldenbergu nie wieziono już nas tak jak do Braunschweigu w wagonach osobowych, po osiem osób w przedziale, ale załadowano nas do wagonów towarowych krytych. Tak na stojąco, z całym osobistym dobytkiem ruszyliśmy w drogę – na wschód.

Mimo, iż wagony były zamknięte od zewnątrz, to udało się kilku kolegom uciec z transportu, a jeden z nich trafił do Woldenbergu po Powstaniu Warszawskim. W nocy przejeżdżaliśmy przez Berlin, który był dobrze oświetlony jak na czas wojenny. Przed południem dotarliśmy do Woldenbergu i w szyku „czwórkowym” – po krótkim marszu – zostaliśmy wprowadzeni boczną bramą na teren obozu. Jak się później okazało był to rejon pierwszego batalionu, a tych batalionów było sześć!

Pierwsze wrażenie, po wejściu na teren obozu, było przygnębiające. Rozległy teren piaszczysty, porośnięty kępami traw i chwastów, a wokół podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego i wieże strażnicze z wycelowanymi w naszym kierunku karabinami maszynowymi. Przed tym wysokim kolczastym ogrodzeniem jeszcze niskie ogrodzenie pojedyncze, które jak później dowiedzieliśmy się, było ogrodzeniem ostrzegawczym. Przekroczenie tego płotu upoważniało strażnika z wieży do otwarcia ognia – bez ostrzeżenia.

W odległości kilkudziesięciu metrów przed nami – rzędy baraków ze ścianami z cegły białej, bądź czerwonej – nieotynkowane. Po prawej stronie jakiś obiekt w budowie, a w niedalekiej odległości od baraków jakaś szopa z desek. Obóz był już częściowo zamieszkały a my

stanowiliśmy uzupełnienie. Zza pojedynczego ogrodzenia między barakami a placem, na którym staliśmy, ukazywały się pojedyncze sylwetki ludzi w mundurach polskich. W pewnej chwili wkroczyła na plac duża grupa żołnierzy niemieckich z oficerem na czele i otoczyła nas bronią gotową do strzału. Inna grupa żołnierzy zaczęła odpinać nam pasy i rzucać na jeden stos. Oficerowie zaczęli protestować, lecz oficer niemiecki ostrzegł, że jeżeli będziemy stawiać opór to każe strzelać. Co było robić – trzeba się było podporządkować silniejszemu i uzbrojonemu. Kto zdażył ukryć swój pas – ten ocalał. Po późniejszej interwencji naszego najstarszego obozu, niemiecka komenda oświadczyła, że w tym obozie jest takie prawo, że nie wolno mieć pasa. Był tu poprzednio stalag w którym to prawo obowiązywało, a rozkaz ten nie został dotąd odwołany. Tak „w imieniu prawa” pozbawiono nas pasów oficerskich, co niezgodne było z prawem międzynarodowym o traktowaniu jeńców oficerów. Ale cóż kto silniejszy ten tworzy swoje prawa, a słabszy musi słuchać i podporządkować się.

Takie to było „przyjęcie” nas w obozie Oflag II C- Woldenberg w dniu 26 czerwca 1940 roku, w którym spędziliśmy wiele lat – aż do 25 stycznia 1945 roku. Po dokonaniu tej grabieży, część żołnierzy niemieckich odeszła zabierając pasy, a oficer zaczął przydzielać nas grupkami do poszczególnych baraków. Jakoś tak się złożyło, że ja, Władek, Broniek i prof. Libura zostaliśmy włączeni do grupy oficerów skierowanych do baraku 4 B (cztery B). W baraku była już spora grupa oficerów, którzy byli tu przywiezieni przed nami. My uzupełnialiśmy wolne miejsca. Po wejściu do baraku każdy z nas szukał wolnego miejsca na trzykondygnacyjnej pryczy, na której miał spędzić wiele lat. Jak wyglądał wewnątrz taki barak? Każdy budynek (barak) był podzielony na dwie części, literami A i B. Do każdej połowy baraku było oddzielne



wejście. W środku baraku była umywalnia, do której było wejście z obydwu części baraku A i B. W umywalni były betonowe koryta a nad nimi rura z kurkami do wody. Oczywiście była to tylko zimna woda z wodociągu miejskiego. Przed wejściem do umywalni było małe pomieszczenie z wymurowanym z cegły piecem kuchennym od strony A. Od strony B było takie samo pomieszczenie z kotłem do podgrzewania wody. Podłogi w umywalni i tych pomieszczeniach były betonowe. Jak wyglądała część mieszkalna baraku? Wchodziło się do przedsionka (mała przybudówka) a z niego było dwoje drzwi: jedne na wprost wejścia do ubikacji nocnej, a drugie w prawo do wnętrza baraku. Po przejściu drzwi do baraku, wchodziło się do wąskiego korytarza, z którego jedne drzwi – na wprost – prowadziły na salę ogólną baraku, a po obydwu bokach były drzwi do pomieszczeń mieszkalnych przeznaczonych dla oficerów wyższych stopni – od majora wzwyż. Tych pomieszczeń było cztery a nazwano je „boksami”. W nich były prycze jednopiętrowe na cztery osoby. Konstrukcja dachowa całego baraku oparta była na słupach murowanych (filarach) z cegły. Sufitów nie było, a bezpośrednio na krokwie były podbite płyty z „supremy” dla ocieplenia. Ściany wewnętrzne baraku, stropodach i drewniana konstrukcja baraku, były pobielone wapnem. Podłogę stanowiły cegły ułożone – „na płask” – na cemencie. Na dwóch trzecich szerokości baraku były ustawione prycze drewniane trzykondygnacyjne (dwupiętrowe). Na każdej pryczy był siennik i poduszka z włókna papierowego, wypełnione „wełną drzewną” (drobne wióry drewniane) i do tego dwa koce. Bielizny pościelowej nie było. W pozostałej jednej trzeciej szerokości baraku były wąskie półki drewniane – otwarte, na rzeczy osobiste każdego mieszkańca oraz duży stół drewniany i ławy. Ta część była przeznaczona do użytku poza spaniem.

W każdym „półbaraku” (A, B) było po dwa piece kaflowe do ogrzewania wnętrza baraku w okresie zimy. Każdy z nas, wchodząc do baraku rozglądał się za jakąś wolną „pryczą”. Ja znalazłem wolne miejsce w trzecim sektorze – na „pierwszym piętrze”. Było to dobre miejsce, bo w środku prycze były zajmowane w takim układzie, że najstarsi wiekiem oficerowie lokowali się na parterze, gdyż nie mieli tyle sił, aby ciągle wspinać się do spania. Na pierwszym zaś piętrze byli trochę młodszy, ale na tyle sprawni że mogli się wdrapywać na „legowisko”. Najwyżej zajmowali miejsce najsprawniejsi fizycznie, gdyż nie było żadnych drabinek umożliwiających wejście na najwyższą część pryczy.

Znaleźliśmy się zatem w innych warunkach bytowania niż w Braunschweigu i trzeba było się do nich dostosować. Nie było innej alternatywy. Dochodząc z grupą kolegów do wyznaczonego baraku 4 B spojrzałem, z bliska na tę szopę z desek na którą, zwróciłem uwagę i stwierdziłem – po zapachu – że jest to „latryna”, gdyż ustępy były dopiero w budowie. Z tą to latryną wiąże się takie zdarzenie. Siedząc pewnego dnia na „dragu” w tej „latrynie” zauważyłem siedzącego obok mnie majora Światalskiego – marszałka ostatniego Sejmu RP i kilku oficerów. Jeden z nich „chcąc być dowcipnym” powiedział: Wszystkiego w życiu się spodziewałem, ale że będę z Marszałkiem Sejmu siedział na jednym „dragu” w latrynie – tego się nie spodziewałem. Trochę był to niesmaczny żart i wszyscy spojrzeli na majora, czekając jak zareaguje. Major jednak bardzo spokojnym głosem odpowiedział: „Jest pan jeszcze bardzo młodym człowiekiem i przed panem jest bardzo dużo niespodzianek”. I na tym skończyła się „latrynowa dyskusja”. Majora Światalskiego często spotykałem na spacerze , ale najczęściej chodził sam. Widocznie nie był akceptowany wśród wyższych oficerów, którzy

mając różne orientacje polityczne, kłócili się o władzę w powojennej Polsce. Spory te, które w różnych wersjach docierały do mnie – w zasadzie nie interesowały mnie. Byłem daleki od politykowania. Jeśli jakaś wiadomość w tej materii dochodziła do mnie – to wchodziła mi do jednego ucha i natychmiast uchodziła drugim uchem.

W nowych warunkach i w otoczeniu nowych ludzi, trzeba było jakoś się dostosować do środowiska. Poznałem tu wielu, różnego wieku oficerów, z którymi się zaprzyjaźniłem. Poznałem tu por. Egierskiego i jego bratanka ppor. inż. Egierskiego. Dogadałem się, że ich „korzenie” pochodzą ze Sławkowa, z którego i ja pochodzę. Por. Egierski był bratem pana Egierskiego w Sławkowie, który miał duży piętrowy dom przy małym rynku i prowadził restaurację. Inż. Egierski był później Dyrektorem Departamentu w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego. Innym z kolei był ppor. mgr farmacji Rybiński – właściciel apteki w Stargardzie Gdańskim.

Znajomość zaczęła się od tego, iż poprosił mnie, abym ogolił mu głowę. Był kompletnie łysy i miał tylko resztki włosów na bokach głowy. Wolał mieć ogoloną głowę niż pielęgnować tych „kilka” włosów. Nawet gdy przeniosłem się do innego baraku przychodził do mnie „na golenie głowy”. W tym samym przedziale co ja miał swoją pryczę prof. Michałowski – egiptolog, którego wygląd przypominał trochę mumie egipską. Był szczupły z bladą twarzą i siwą głową. Wiele dowiedziałem się o wykopaliskach, gdyż profesor bardzo chętnie opowiadał o polskich odkryciach archeologicznych w Egipcie. Specjalnością kulinarną profesora były odsmażane ziemniaki „na rumiany kolor”. Poznałem też innych również wartościowych kolegów, którzy mieli zainteresowania zbliżone do moich.

W każdym takim półbaraku (A, B) mieszkało, a raczej „gnieździło

się” około stu pięćdziesięciu osób! Był ruch, szum, gwar i co najgorsze to większość była paląca, a papierosów nie brakowało! Jak weszło się do baraku to w tym dymie nie było widać drugiego końca. Życie w takich warunkach było makabrą i trudno było zająć się nauką i z konieczności musiałem „zawiesić” do czasu swoją dalszą naukę. Wielokrotnie wspominałem te idealne warunki mieszkaniowe w Braunschweigu.

Tu w Woldenbergu życie obozowe musiało być organizowane od początku. Inne warunki bytowania, inni ludzie i to wszystko musiało się jakoś „dotrzeć”, aby powstało znowu jakieś zorganizowane życie. Do końca 1940 roku, co jakiś czas przybywała grupa oficerów przenoszonych z innych Oflagów, tak że z początkiem 1941 roku nazbierało się około 7 000 (siedem tysięcy) osób, licząc w tym żołnierzy, którzy stanowili obsługę obozu. W zasadzie okres – jesień 1940 roku i zima 1940/1941 r. były takim, okresem „dostosowawczym” do nowych warunków bytowania.

Jedno co dało się zauważyć po przybyciu do Woldenbergu, to poprawa jakości wyżywienia w porównaniu z Braunschweigem. Zamiast brukwi pływającej po wodzie, była kiszona kapusta i większa ilość ziemniaków. Inne dodatki nie uległy zmianie. Zaczęły też coraz częściej napływać paczki z żywnością z okupowanej Polski. Te trudne warunki mieszkaniowe i ciągłe „dymienie” przez palących papierosy, stanowiły dla wielu prawdziwy koszmar. Tu w obozie Niemcy zaopatrzyli nas w „drewniaki”, które chroniły nasze nogi przed zimnem od „posadzki”, a równocześnie oszczędzały nasze własne buty. W okresie zimy 1940/1941 roku Niemcy dostarczali nam wystarczającą ilość drewna i węgla do ogrzewania baraku, także warunki były znośne. Zima nie była tak sroga jak poprzednia. Później jednak z opalem było gorzej. Gdy nadeszła wiosna 1941 roku, ktoś wpadł na pomysł, aby jeden „półbarak”

przeznaczyć dla niepalących. Pomysł szybko nabrał realnych kształtów i utworzono go w baraku 7A – w szóstym batalionie.

Do przeniesienia się do tego baraku było dużo chętnych, tak że szybko się zapełnił. Ja, Bronek, Władek i prof. Libura skorzystaliśmy z okazji i przenieśliśmy się do baraku 7A, w którym przetrwaliśmy do końca pobytu w obozie, tj. do 25 stycznia 1945 roku, kiedy to Niemcy zarządzili ewakuację obozu. I już po raz trzeci znalazłem się w innym środowisku i ponownie trzeba było się dostosowywać. Ja, Bronek i Władek, znaleźliśmy wolne prycze w czwartym przedziale zwanym również „boksem”. W tym samym „boksie”, poznałem wielu nowych ludzi: kpt. Hennel, kpt. Zygałłowicz, kpt. Bielski, kpt. Darmstedfer, kpt. Lenczewski, to byli starsi wiekiem i szarżą, a oprócz nich wielu młodszych. Tam też zaprzyjaźniłem się z ppor. Morozem Romanem, który pochodził ze Lwowa, a był kierownikiem szkoły powszechnej w miejscowości Prubel na Polesiu – na wschód od Pińska. Opowiadał on wiele o tamtejszych zwyczajach i obyczajach ludności polskiej, która nawet nie wiedziała jakiej jest narodowości. Ja „zdiesznyj” – mówił mieszkaniec Polesia, co po polsku znaczyło: „ja tutejszy” – tutaj urodzony. Mówili własnym narzeczem zbliżonym do języka białoruskiego. Starsi nie mówili po polsku, a jedynie dzieci i młodzież, która uczęszczała do szkoły. Nawet tak zwana „szlachta zagrodowa”, o której wspomina Sienkiewicz, żyjąca tam od setek lat nie znała języka polskiego. Szlachta ta stanowiła odrębny element, zachowujący swoje tradycje, szlacheckie i nie wiążący się z „wiejską” ludnością. Nosili oni nazwiska szlacheckie – takie jak Nozdryń-Płotnicki itp.

Inni koledzy, z którymi się jeszcze zaprzyjaźniłem to: ppor. Cuglewski z Bydgoszczy – z zawodu maszynista kolejowy pociągów pospiesznych, którego rodzina mieszkała w Olkuszu. Stryj jego pan

Cuglewski prowadził restaurację w pobliżu dworca kolejowego w Olkuszu – potocznie zwany „Cuglem”. Drugim był ppor. Barczuk Witold – nauczyciel zza Buga, który po wyjściu z obozu osiedlił się w Sopotcie. Skończył wyższe studia i był docentem w Instytucie Morskim w Gdyni. Gdy „broniał” pracy doktorskiej na UJ w Krakowie, to przez dwa dni mieszkał u mnie w Olkuszu, skąd dojeżdżał do Krakowa. Będąc w późniejszym czasie na kuracji w Sopotcie odwiedziłem go i poznałem jego rodzinę. Mieszkał przy ul. Bitwy pod Racławicami w pobliżu sanatorium, w którym przebywałem. W obozie spotkałem również kilku olkuszian: ppor. stomatologa Sikorskiego Tadeusza, ppor. Wałka Mieczysława i Tomsię Mariana – marynarza, który po wojnie był kierownikiem transportu samochodowego w Olkuskiej Fabryce Naczyń Emaliowanych (OFNE) – gdzie i ja pracowałem.

Jak ogólnie wyglądała organizacja obozu? Obóz był podzielony na sześć batalionów, przy czym w batalionach 1, 2, 3, 4 i 6 było po cztery baraki mieszkalne, a w batalionie 5 było pięć baraków. W każdym batalionie był budynek zwany świetlicą, a za nim drugi, duży budynek – był to „ustęp” dla całego batalionu. „Przybytek” ten był używany tylko w ciągu dnia, a w nocy korzystało się z ustępu nocnego przy każdym „półbaraku”. W środku terenu obozowego były trzy budynki, w którym mieściły się: kuchnia obozowa, kantyna, sala teatralna, sala koncertowa i inne lokale „użyteczności publicznej” – w tym wielka biblioteka, tak naukowa jak i beletrystyczna. W świetlicy pierwszego batalionu mieściła się poczta obozowa, a później powstała tam kaplica obozowa.

Jak w każdym środowisku, którym żyją ludzie tak i tu w obozie istniało zorganizowane życie w którym istniała „władza” na różnych szczeblach. Najwyższą władzą jeniecką, był „najstarszy obozu” – którym był pułkownik Ignacy Misiąg, a po jego śmierci – pułkownik Wacław

Szalewicz. Najstarszemu obozu podlegali komendanci batalionów (dowódcy batalionów). Każdy komendant batalionu miał adiutanta, który zajmował się sprawami administracyjnymi. Komendantowi batalionu podlegali komendanci „półbaraków”. Każdy komendant „półbaraku” miał adiutanta, do obowiązków którego należało:

1. Sporządzanie raportu dziennego o stanie oficerów.
  - a. Obecnych na apelu.
  - b. Chorych będących w baraku.
  - c. Chorych będących w obozowej izbie chorych.

Dane te podawał adiutant komendantowi „półbaraku”, który wychodził na apel oraz podoficerowi niemieckiemu, kontrolującemu barak w czasie apelu.

2. Przynoszenie listów z poczty obozowej oraz listy nazwisk osób, które w tym dniu mają odebrać paczki jak również zanoszenie na pocztę obozową zebranych w baraku listów.
3. Odczytywanie w baraku rozkazów Komendy niemieckiej i polskiej, dotyczących życia obozowego.

Adiutant nie wychodził na apele. W naszym „półbaraku” 7A komendantem był kpt. Kajzer, a adiutantem był ppor., którego nazwisko uszło mi z pamięci, a którego zupełnie przypadkowo pozbawiłem tej funkcji. Kolega ten, w jesień 1943 roku zachorował na grypę i poprosił mnie, abym go zastąpił na okres choroby, gdyż nie mógł nawet mówić. Zgodziłem się na to i przez kilka wieczorów odczytywałem zarządzenia i rozkazy w baraku. Tamten kolega miał słaby głos i czytał niewyraźnie, natomiast ja czytałem donośnym głosem i wyraźnie, tak że mój głos docierał do całego baraku. Miałem „praktykę” w czytaniu, gdyż będąc jeszcze w gimnazjum byłem lektorem na lekcjach języka polskiego. Po tym moim „występie” kpt.

Kajzer, zaproponował mi objęcie funkcji adiutanta. Było mi nieprzyjemnie, że przyczyniam się do usunięcia kolegi z zajmowanej funkcji i obawy te podałem Kapitanowi. Po rozmowach Kapitana z kolegą i mną – objąłem funkcję adiutanta komendanta baraku 7A, którą pełniłem aż do dnia ewakuacji obozu – do 25 stycznia 1945 roku. Z kolegą tym żyłem nadal w zgodzie a on zajął się sprawami kulturalnymi w baraku. Wielokrotnie „muzykowaliśmy” wspólnie w braku tworząc trio – kolega ten grał na skrzypcach, ja na mandolinie, a Roman na gitarze. Tak oto w wielkim skrócie podałem organizację życia obozowego.

Rok 1941 był rokiem zawiązywania się różnych organizacji zawodowych, kulturalnych, sportowych, no i oczywiście nie obyło się bez organizowania politycznych ugrupowań. Powstały organizacje techniczne na wzór organizacji działających uprzednio w kraju. Powstały Stowarzyszenia: Mechaników, Elektryków, Górników, Hutników itp. Wszystkie te Stowarzyszenia prowadziły działalność w swej branży organizując odczyty, wykłady oraz działalność naukową. Ja z tytułu ukończenia Szkoły Górniczej (PSGH w Dąbrowie Górniczej) należałem do Koła Górników, do którego należeli Władek i Broniek z tytułu ukończenia tejże szkoły i pracy w górnictwie.

Przewodniczącym Koła był inż. Rabsztyn, późniejszy Dyrektor Zjednoczenia Węglowego i profesor AGH. Natomiast ja z tytułu wyuczonego i wykonywanego zawodu, należałem również do Stowarzyszenia Elektryków, gdzie przewodniczącym był inż. Gniewiecki Jan – późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej. Działaczami Koła byli: inż. Klarner – specjalista pomiarów elektrycznych i inż. Pawłowski – specjalista budowy rozdzielni elektrycznych. Oprócz działalności dydaktycznej Koło to podjęło prace



projektowe nad budową elektrowni nad Wisłą, pod Zawichostem. Miała to być elektrownia ciepła zasilająca COP (Centralny Okręg Przemysłowy) i Warszawę. Węgiel do tej elektrowni miał być dostarczany ze Śląska drogą wodną – kanałem wybudowanym wzdłuż koryta Wisły. Do prac projektowych zostali zaproszeni koledzy z innych Kół branżowych. Całością prac projektowych kierował inż. Gniewiecki. Ja pracowałem w grupie inż. Pawłowskiego, która projektowała rozdzielnię i stacje transformatorowe dla całego układu elektrycznego. Zdobyta tam wiedza o projektowaniu bardzo mi się przydała gdy opracowywałem projekt zasilania Olkuskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych w energię elektryczną przy opracowywaniu Planu Sześcioletniego rozbudowy zakładu, gdzie byłem Głównym Energetykiem. Co stało się z tym opracowanym w obozie projektem – gdyż nie spotkałem nikogo z jego współtwórców – nie wiem.

Działalność kulturalna – we wszystkich jej dziedzinach powstała bardzo szybko dzięki zaangażowaniu się wielu oficerów w jej organizowanie. Powstał teatr obozowy, który zgromadził tak artystów zawodowych jak i amatorów, z których wyróżniał się ppor. Rudzki Kazimierz, późniejszy profesor w Szkole Teatralnej w Warszawie. Szczególnie celował on w prowadzeniu „konferansjerki” rewijowej. Gdy cała widownia „ryczała” z powiedzianego przez niego dowcipu – on zachowywał „kamienną twarz”. Teatr wystawił cały szereg spektakli pisarzy krajowych i zagranicznych a nawet obozowych. Wykonawcy – aktorzy jak i personel techniczny – wkładali wiele serca i wysiłku, aby teatr ten sprawiał wrażenie prawdziwego teatru. Udawało im się to w całej rozciągłości, a obecność na przedstawieniu była prawdziwym przeżyciem duchowym i zapomnieniem o istniejącej rzeczywistości.

Powstał też teatr lalek prowadzony przez kapitana Hennera, ale

działalność teatryku była stosunkowo krótka. Może sprawił to repertuar, który nie bardzo przypadł widzom do gustu? Byłem na jednym spektaklu o tematyce „miłość dziewczyny do kata” i wydało mi się, że był to nieprzyjemny występ i więcej do teatru lalek nie poszedłem. Widocznie więcej było takich jak ja, gdyż teatryk „świecił pustkami” i wkrótce zakończył swój żywot.

Powstała też wielka orkiestra symfoniczna pod batutą por. Klonowskiego Józefa. Była to wspaniała orkiestra, która dała wiele koncertów muzyki poważnej różnych kompozytorów światowej sławy. Dla tych, którzy lubili muzykę lekką, grał ppor. Gajdeczka Stanisław ze swoją małą orkiestrą. Dyrygowania małą orkiestrą podjął się on po namowie przez por. Klonowskiego. Gajdeczka występował po wojnie w Polskim Radio w Krakowie – dyrygując małą orkiestrą i grając osobiście na akordeonie. Znalazło się też wielu kompozytorów z ppor. Bursą i por. Klonowskim na czele, którzy komponowali różne utwory muzyczne, a także melodie do piosenek również pisanych w obozie. Jedną z najpopularniejszych melodii była piosenka: „Aniu! Aniu! Wyjdź przed sień wojsko wróci lada dzień...” Mimo iż upłynęło już tyle lat, ta melodia została tak głęboko zakodowana w mojej głowie, że czasami nuce tę piosenkę. Kto natomiast chciał pogłębiać swą wiedzę muzyczną mógł korzystać z organizowanych przez ppor. Młodziejowskiego – „godzin dobrej muzyki”. Spektakl taki obejmował biografię kompozytora podawaną przez ppor. Młodziejowskiego, a następnie mały zespół muzyczny wykonywał kilka utworów tego kompozytora. Były to bardzo ciekawe prelekcje, na które chętnie chodziłem. Muzyką bowiem interesowałem się od najmłodszych lat. Będąc w gimnazjum w latach dwudziestych, grałem w orkiestrze szkolnej na altówce, a w domu „muzykowałem” razem z ojcem

i siostrą.

Nie zabrakło też w obozie tych, którzy interesowali się sztuką cyrkową. Pod kierownictwem por. Neumana powstał cyrk, który był nie lada atrakcją, a oglądając wyczyny naszych kolegów, mogliśmy zapomnieć o rzeczywistości obozowej. Dla tych, którzy chcieli pogłębiać swą wiedzę fachową, była olbrzymia jak na warunki obozowe „biblioteka naukowa”, w której były książki z różnych dziedzin i w różnych językach. Oprócz tego była biblioteka beletrystyczna również w różnych językach. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, Niemcy skonfiskowali książki w języku rosyjskim a także zabronili nauki języka rosyjskiego. Kto zatem był chętnym do pogłębiania swych wiadomości mógł korzystać z obydwu tych bibliotek. Najliczniejszą grupą korzystającą z bibliotek byli nauczyciele, tak szkół podstawowych jak i średnich. Wielu z nich po wojnie zostało pracownikami naukowymi w krajowych wyższych uczelniach. Najmniejsze zainteresowanie wiedzą wykazywali oficerowie zawodowi – były tylko wyjątki wśród oficerów zawodowych czytające książki. Rok 1941 to nie tylko czas organizowania się życia obozowego ale również był to rok, który w konsekwencji przyniósł późniejsze zmiany w całej Europie.

Od początku maja 1941 roku zauważyliśmy zwiększony ruch pojazdów wojskowych w kierunku wschodnim. Odcinek drogi w kierunku Woldenbergu był dobrze widoczny z terenu szóstego batalionu, skąd wielu oficerów obserwowało te ruchy wojsk w kierunku wschodnim. Była to dla nas zagadka – po co przemieszcza się wojsko na wschód?

Okolo połowy czerwca ruch tak się nasilił, że nawet w nocy słyhać był w baraku „szum” jadących pojazdów mechanicznych. Zagadka

wyjaśniła się, gdy dnia 21 czerwca 1941 roku Oberkommando der Wehrmacht podało wiadomość, iż wybuchła wojna z Rosją. Na tę wiadomość jedni podskakiwali z radości, inni kombinowali co z tego wyniknie, a jeszcze inni przyjęli to obojętnie. Do tych trzecich należałem i ja, gdyż wówczas nikt nie przewidywał że będzie to początek końca Trzeciej Rzeszy. Na razie nasza sytuacja „za drutami” nic się nie zmieniła i nadal trzeba było borykać się z istniejącymi trudnościami.

Większość oficerów starała się utrzymać na względnym poziomie sprawność ducha i ciała. Dla utrzymania sprawności ciała powstały kluby sportowe, które organizowały życie sportowe we wszystkich dyscyplinach jakie były możliwe w istniejących warunkach. Była piłka nożna, siatkówka, koszykówka, lekkoatletyka a nawet boks! Były rozgrywki między drużynowe w piłkę nożną, na których nie brakowało kibiców dopingujących swoje drużyny. Tych drużyn było kilka, a były to drużyny regionalne: Wawel, Warta, Lwów itp. skupiające piłkarzy poszczególnych regionów Polski. Ja byłem kibicem Wawelu, gdyż skupiał on piłkarzy regionu krakowskiego. Sam grałem dużo w siatkówkę – oczywiście nie w klubie. W czasie jednej z takich gier, chcąc odbić „trudną piłkę” – wykonałem tak niefortunny ruch do tyłu, że zrobiła mi się przepuklina pachwinowa – lewostronna. Z konieczności sport dla mnie się skończył. Gdy zgłosiłem się z tym do doktora Szubudy, w obozowej izbie chorych – ten oświadczył, że jest to jeszcze niewielka przepuklina i na razie nie wymaga operacji. Muszę tylko uważać, aby jej nie powiększyć. Taki był koniec mojego obozowego sportu. Przysłowie mówi: „sport to zdrowie”, ale jak się okazało to nie zawsze sport poprawia zdrowie, bo oprócz mego przypadku było kilka złamań ręki czy nogi lub mniejszych kontuzji.

Żeby nie być bezczynnym, trzeba było pomyśleć o innym zajęciu! W rejonie szóstego batalionu został przydzielony teren dla baraku 7A na zakładanie ogródków. Nie było jednak chętnych aby zająć się podziałem terenu na grzędy, a również nie było wielu chętnych do uprawniania tej ziemi. Wielu oficerów wolało grać w karty lub spacerować niż „grzebać” w ziemi. Po uzgodnieniu z kpt. Kajzerem – ja, Roman Moroz i Włodek Roterman, zajęliśmy się sprawą zagospodarowania przydzielonego terenu. Dokonaliśmy pomiaru terenu przy pomocy metra krawieckiego i sznurka, wytyczając grządki po dwa metry kwadratowe każda. Nie pamiętam ile ich było, ale chętnych było mniej niż wytyczyliśmy grządek, tak że wielu kolegów i nasza trójka zagospodarowało więcej niż jedną grządkę. Wszyscy chętni zabrali się więc do pracy i wkrótce grządki były przygotowane do siewu i sadzenia. Ogrodnik z Woldenbergu dostarczył nam sadzonki pomidorów i różne nasiona. Jak urosły piękne pomidory, rzodkiewka i sałata to wielu z zazdrością patrzyło na te smakołyki. Ci co mieli chęć do pracy, cieszyli się z osiągniętych wyników. Uprawialiśmy te działeczki do końca pobytu w obozie.

Pod koniec 1941 roku Niemcy ogłosili że zwalniają z obozu lekarzy i farmaceutów, ale tylko z terenów przyłączonych do Rzeszy. Zebrała się dosyć duża grupa oficerów chętnych do zwolnienia, a między innymi lekarz stomatolog Sikorski Tadeusz z Olkusza – kolega gimnazjalny. Grupa ta wkrótce wyjechała z obozu. Po tygodniu część tych co wyjechali wróciła do obozu, a między nimi mgr Rybiński. Gdy przyszedł do mnie na golenie głowy zapytałem go dlaczego wrócił – powiedział, że Niemcy zażądali pisemnego oświadczenia o lojalności wobec Trzeciej Rzeszy i podporządkowania się bezwzględnemu władzom terenowym niemieckim w miejscu zamieszkania. Do obozu

nie wrócił lekarz Sikorski Tadeusz i jak się dowiedziałem z listów otrzymanych od rodziny – lekarz ten wykonywał swoją pracę zawodową w okresie całej okupacji. Należałoby przypuszczać, że podpisał wszystkie wymagane przez Niemców warunki. Gdy po wojnie leczyłem u niego zęby ani ja ani też on nie wspominaliśmy czasów obozowych. Zachowywaliśmy się tak jakby ten fakt nie istniał. Po wyjeździe tej grupy lekarzy w obozie pozostało zalewie kilku lekarzy i jeden technik dentysta, który wykonywał wszystkie czynności stomatologiczne z usuwaniem zębów włącznie.

W tym czasie Niemcy zwolnili z obozu również żołnierzy i podoficerów, którzy wyrazili zgodę na pracę we wskazanych zakładach niemieckich jako robotnicy cywilni. Do tych należał również Marian Tomsia z Olkusza, który po wojnie udawał „bohatera” przymusowych robót w Niemczech, ale po rozmowie ze mną na ten temat, przestał udawać bohatera. Pracował jako kierownik transportu samochodowego w OFNE. Umarł na raka krtani, nie doczekawszy emerytury.

Życie w obozie toczyło się swoimi drogami mimo, że za drutami trwały ciężkie zmagania na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Pilnie słuchaliśmy komunikatów Oberkommando der Wehrmacht jak i naszych komunikatów z tajnego nasłuchu radiowego. Te ostatnie komunikaty były czytane po zamknięciu baraku, a lektorem był ppor. Grzesło, który jako jedyny w baraku miał kontakt z oficerami redagującymi te wiadomości. Trzeba nadmienić, że pomysłowość naszych służb wywiadowczych była znakomita. Potrafiono namówić żołnierza niemieckiego na dostarczenie odbiornika radiowego – w częściach – za dużą sumę. Nasi „spece łącznościowcy” zmontowali odbiornik i prowadzili nasłuch

prawie z całej Europy. Mimo wielu kontroli nie udało się Niemcom odszukać odbiornika mimo, iż o nim wiedzieli z donosów swoich konfidentów, którymi byli oficerowie pochodzenia niemieckiego lub Ślązacy.

Rozeszła się nawet taka pogłoska, że Niemcy złapali jednego oficera w czasie nasłuchu, jednak doszło tylko do zabrania odbiornika – bez większych represji, gdyż prowadzący nasłuch oświadczył, że odbiornik ma w obozie od 1939 roku i przywiózł go z sobą po zakończeniu działań wojennych. Sprawa szybko ucichła, gdyż widocznie komenda niemiecka doszła do wniosku, że nie warto sprawy rozdmuchiwać ponieważ świadczyłoby to o złej pracy służb wywiadu niemieckiego. Komunikaty z nasłuchu radiowego były nadal podawane – i to coraz częściej!

W miarę rozwoju sytuacji na frontach wojny – nasilało się w obozie działanie różnych grup politycznych. Zaczęły się coraz wyraźniej kształtować kierunki polityczne. Powstała silna grupa skrajnie lewicowa pod kierownictwem ppor. Uziembły i sympatyzująca z nią grupa lewicująca z kapitanem Kuropieską na czele. Podniosła też głowę partia PPS z kapitanem Kenigiem na czele i nieodłącznym jego towarzyszem ppor. Lipińskim. Kapitan Kenig przedwojenny działacz PPS-u był człowiekiem potężnej postury – nosił szpakowatą brodę i ciemne okulary a ppor. Lipiński wyglądał przy nim jak mały chłopiec – szczupły, niskiego wzrostu. Często spotykałem ich na spacerze dyskutujących między sobą. Jak duża była ta grupa? Nie interesowałem się tym! Nie brakowało też ugrupowań prawicowych, ale były one znacznie zróżnicowane. Grupy prawicowe skupiały przede wszystkim wszystkich księży, hrabiów i właścicieli ziemskich, którzy stanowili jakby oddzielną „kastę” – nie spoufalającą się

z „plebsem”. Mieli oni nawet swoją kawiarnię, gdzie schodzili się na „Neskę” i dyskusję o swej pozycji w powojennej Polsce. Chodzili zawsze elegancko ubrani w butach i nigdy w drewniakach i nie plamili sobie rąk żadną pracą. Niektórzy z nich nawet sprzedawali naiwnym oficerom, część swoich posiadłości – aktem rejentalnym – aby mieć pieniądze na towarzyskie spotkania.

Na uwagę zasługuje powstanie w obozie partii DZWON – „Dobrowolny Związek Obywateli Nieskompromitowanych” – której program ideowy nie bardzo był zrozumiały. Mimo, iż deklarację ideową tego związku przepisywałem w sześciu egzemplarzach, nic konkretnego nie mogłem się w niej dopatrzeć. Muszę tu nadmienić, że trudniłem się przepisywaniem różnych opracowań i referatów – za wynagrodzeniem. Pisałem dobrze i szybko pismem technicznym i wielu kolegów dawało mi do przepisywania różne „notatki”, aby stały się czytelne. Ja miałem zajęcie i gotówkę a oni czytelne rękopisy.

Przewodniczącym DZWON-u był kapitan o nieznanym mi nazwisku, który wydawał mi się trochę dziwnym osobnikiem. Rozmawiając często podnosił oczy w górę i mrugał. Pomocnikiem jego był porucznik również o nieznanym mi nazwisku, z którym kilka razy rozmawiałem. Ilu zwolenników miała ta organizacja i co dalej się z nią stało – nie wiem, gdyż nie byłem tym zainteresowany.

W początkowym okresie pobytu w Oflagu zainteresowanie polityką było stosunkowo niewielkie – było trochę polityków „różnych kierunków”, trochę sympatyków różnych grup politycznych i na tym koniec.

Większość myślała jakby spokojnie i bezpiecznie dotrzeć do końca wojny. Dopiero załamanie się ofensywy niemieckiej na wschodzie, pobudziło większość oficerów do zastanowienia się nad przyszłością



w przypadku zwycięstwa ZSRR. Szczególnie byli zainteresowani oficerowie pochodzący z ziem wschodnich. Ożywiła się działalność grup politycznych, które zyskiwały coraz więcej zwolenników lub przeciwników. Toczyły się ożywione dyskusje na temat jak zachować się gdy Armia Czerwona zajmie tereny Polski. Jedni byli zwolennikami emigracji na Zachód, a inni znowu pozostania na miejscu i włączenia się w nurt powstającej nowej sytuacji.

W jednej takiej dyskusji zostałem zapytany przez kapitana Bielskiego jakie jest moje zdanie na ten temat, odpowiedziałem: „jest obojętne czy Polska będzie czerwona czy zielona – ja wracam do Polski, gdyż uważam, że tam jest moje miejsce. Gdyby tak cała inteligencja wyemigrowała, to jej miejsce zajmie inteligencja obca i będzie kierowała narodem polskim dla własnych interesów”. Po tej mojej wypowiedzi wielu starszych oficerów uznało mnie za lewicowego. Oficerowie, którzy zamierzali emigrować na Zachód zaczęli intensywnie uczyć się języka angielskiego. Jak później się okazało, większość oficerów powróciła do Polski, gdzie mimo zmian ustrojowych, zajmowało wiele kierowniczych stanowisk w życiu gospodarczym, naukowym jak również w życiu politycznym – czego przykładem był ppor. Rapacki, który sprawował wysoką funkcję w PRL-u – ministra spraw zagranicznych. Wielu też było profesorami wyższych uczelni w różnych „specjalnościach”.

Polityka i dyskusje szły swoją drogą, a rzeczywistość obozowa swoją szła drogą. Aby przetrwać do jakiegoś końca, trzeba było zadbać nie tylko o „ducha”, ale także o ciało. Bo jak to mówi przysłowie: „tylko w zdrowym ciele zdrowy duch”. Każdy na swój sposób starał się podtrzymać to zdrowe ciało. Od początku pobytu w Woldenbergu zaczęły napływać paczki żywnościowe z kraju – na

początku w sposób dowolny, ale wkrótce Niemcy unormowali tę sprawę dając po dwie „nalepki” na paczki dla każdego jeńca – w ciągu miesiąca. Nalepki takie były wysyłane do nadawców i dopiero na tej podstawie poczta przyjmowała nadawane paczki. Z każdym rokiem zaopatrzenie poprawiało się, a już było bardzo dobre gdy zaczęliśmy systematycznie otrzymywać po jednej paczce żywnościowej w ciągu miesiąca z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Również różne organizacje w Kraju przysyłały paczki żywnościowe. Ja otrzymałem raz taką paczkę z firmy „Hydraulik” z Krakowa, której zawartość stanowiła „tylna” szynka wieprzowa – niewędzona. Nie wiem skąd znano moje nazwisko i imię. Byłaby to wspaniała paczka, gdyby nie pora letnia, w czasie której paczka wędrowała prawie tydzień z Krakowa. Gdy kontroler niemiecki rozpakował tę paczkę dla sprawdzenia jej zawartości – „buchnął” nieprzyjemny zapach, tak że Niemiec popchnął paczkę w moim kierunku i powiedział: „Nehmen Sie schnelle”! Zabrałem tę furę „pachnącego” mięsa i poszedłem do baraku zastanawiając się, gdzie by to wszystko wyrzucić. Gdy w baraku zastanawiałem się co z tym zrobić, podszedł do mnie kapitan – lekarz weterynarii – nazwiska nie pamiętam – i powiedział: „Jeśli pan chce to wyrzucić to ja to wezmę i zjem, to jest jeszcze dobre mięso, tylko trzeba odpowiednio przyprawić”. Zastanowiłem się nad tą propozycją i odrzekłem: „Jeśli Pan jako lekarz uważa, że jest to zjadliwe, to ja spróbuję skonsumować ten specjał”. Naradziłem się z Bronkiem, Władkiem i Romanem i postanowiliśmy coś z tego zrobić, aby można było to zjeść.

Oddzieliłem mięso od kości, umyłem dobrze pod bieżącą wodą i wrzuciłem na wrzątek do garnka, dodając do tego różnej zieleniny hodowanej na grządce. Gotowałem tak długo aż uznałem że mięso jest

miękkie. Przy tym pomagała mi cała trójka, gdyż trzeba było bez przerwy podtrzymywać ogień dmuchając „kręciołką” w ognisko z koksiku. Gdy uznałem, że mięso jest gotowe do zjedzenia – podzieliłem go na cztery części i urządziliśmy wspólną ucztę zjadając całość mięsa – za jednym posiedzeniem, popijając „Neska” i zagryzając chlebem przysłanym z domu. Co to takiego była „kręciołka”? Otóż, gdy pod koniec 1942 roku Niemcy nie dawali nam opału do kuchenek barakowych, a wszystkie kawałki drewna i różne słupki były już spalone, więc trzeba było coś wykombinować, aby było czym palić w kuchenkach.

Ktoś wpadł na pomysł aby wykorzystać niedopalony węgiel w postaci koksiku, wyrzucany spod kotłów kuchni obozowej na śmietnik. Koksik ten bez podmuchu nie chciał się palić, więc trzeba było zrobić wentylator podmuchowy. Ten ktoś wykonał taki wentylatorek z puszek po konserwach i tektury oraz palenisko z większej puszki po konserwach, wyklejając go gliną. Gdy w jednym z baraków zobaczyłem taką „maszynę” – postanowiłem wykonać takie urządzenie grzewcze. Z kawałków sklejk, puszek po konserwach wykonałem taki wentylatorek, a z większej puszki zrobiłem palenisko. Niemcy nie pozwalali używać takich urządzeń i gdy przy rewizji w barakach znaleźli coś takiego to zaraz niszczyli. Moje urządzenie przetrwało jednak do końca naszego pobytu w obozie dzięki odpowiedniemu maskowaniu i przechowywaniu w częściach. Trzeba było jednak – dla zdobycia paliwa – pogrzebać co jakiś czas w śmietniku, gdzie wyrzucano popioły z palenisk kuchni obozowej.

Korzystając z tego urządzenia, zorganizowaliśmy z Romanem sprzedaż wrzątku na herbatę i „Neskę”. Ja miałem „palenisko”, a Roman duży aluminiowy czajnik (imbryk). Po zamknięciu baraku

zbieraliśmy zamówienia na wrzątek i po ugotowaniu sprzedawaliśmy wodę potrzebującym. Był to taki mały „biznes” – jak to obecnie się nazywa. Pieniędźmi dzieliliśmy się po połowie.

Mając znowu trochę „talentu” do szycia ręcznego postanowiłem wykorzystać tę umiejętność. W okresie letnim szyłem z resztek białych szmatek furażerki do chodzenia w słońcu, a w okresie jesienno-zimowym szyłem z resztek sukna mundurowego „wkładki” do drewniaków. Usługi te były oczywiście płatne! Z zarobionych w ten sposób pieniędzy, część zużywałem na własne potrzeby a większość – ponad sto marek miesięcznie – wysyłałem do rodziców – do domu. Była to większa suma niż zarabiał ojciec i siostra.

Ale nie na tym koniec moich zainteresowań! Gdy „Koło Rolników” zakupiło w 1943 roku od Niemców pasiekę i urządziło ją na terenie obozu, obok budynku kuchni – postanowiono zorganizować kurs pszczelarski dla chętnych. Między innymi i ja zapisałem się na ten kurs. Początkowo odbywały się wykłady na temat hodowli pszczół, a następnie w okresie jesienno-wiosennym, odbywały się praktyczne zajęcia w pasiece, pod nadzorem instruktorów pszczelarskich. Była to pasieka „pawilonowa” o dwunastu ulach ułożonych w dwóch kondygnacjach. Co to jest pasieka „pawilonowa”? Otóż jest to mały budynek drewniany, w którym od strony wschodniej były ułożone w dwóch rzędach ule przylegające szczelnie do siebie, stanowiące ścianę z otworami wlotowymi dla pszczół. Dostęp do środka ula był „od tyłu” z zamkniętego pomieszczenia budynku. Taki rodzaj pasieki miał tę zaletę, że nawet w dni deszczowe i chłodne, można było wykonywać czynności pielęgnacyjne. Wadą natomiast tego typu pasieki było to, że gdy trzeba było skontrolować ramki od strony wlotu pszczół, trzeba było wyjąć wszystkie ramki. Nie będę tu

opisywał czynności pszczelarza, gdyż to można znaleźć w podręcznikach hodowli pszczół.

Przez cały okres „sezonu pszczelego”, wykonywałem wszystkie prace pod nadzorem instruktora. Szło mi to bardzo dobrze, gdyż nie bałem się „użądlenia” przez pszczoły i byłem odporny na „jad pszczeli”. Nie wszyscy jednak mogli ukończyć kurs, gdyż wielu było uczulonych na jad pszczeli, bądź nie wytrzymało nerwowo, gdyż pszczoły chodziły im po rękach i twarzy. Nasz komendant baraku 7A kapitan Kajzer został przy pierwszych czynnościach w pasiece użądłony przez jedną pszczołę i o mało nie przyplacił tego życiem. Po użądleniu opuchł niesamowicie, tak że była konieczna interwencja lekarza. Przeleżał kilka dni w baraku i po powrocie do zdrowia zaniechał dalszego szkolenia się na pszczelarza. W pasiece tej był specjalny gatunek pszczół „niezłośliwych” i pracowaliśmy bez osłony twarzy i rąk!

W lecie roku 1944, w odległości około 300 metrów od obozu, znajdował się łąn rzepaku kwitnącego, na który pszczoły latały całymi chmarami. Był to wspaniały widok! Rok ten był nadzwyczaj obfity w miód.

Mieliśmy dużo pracy z wirowaniem miodu i zakładaniem ramek do uli. Przy tych czynnościach można było „skonsumować” trochę miodu. Ja początkowo skonsumowałem tyle miodu, że już pod koniec zbiorów nie miałem ochoty na spożywanie tego pszczelego owocu pracy. Pod koniec okresu pszczelego zostały przeprowadzone egzaminy i ci, którzy wykazali pozytywną znajomość hodowli pszczół, otrzymali świadectwa ukończenia kursu. Ja zdałem egzamin na bardzo dobry.

Miód zebrany z pasieki był częściowo oddawany Niemcom jako

przymusowy kontyngent, a pozostała część była skierowana do izby chorych dla przebywających tam rekonwalescentów.

Pszczoły dostarczały nie tylko miodu ale także były wykorzystywane jako środek leczniczy. Jad pszczoł był dla wielu zreumatyzowanych kolegów lekarstwem na ich dolegliwości. Ja zaopatrywałem w pszczoły Władka Rotermana, który cierpiał na reumatyzm kończyn dolnych, tak że z trudem się poruszał. Przynosiłem mu w pudełku od zapalek żywe pszczoły przez kolejne dwadzieścia dni – tak od jednej pszczoły do dziesięciu i dalej od dziesięciu do jednej. Po takiej kuracji, stan zdrowia Władka znacznie się poprawił. Po powrocie z niewoli ja nie założyłem własnej pasieki z różnych względów, ale pomagałem koledze Kluczewskiemu Lucjanowi w prowadzeniu pasieki, którą odziedziczył po swoim ojcu a sam nie był pszczelarzem. Przy mojej pomocy fachowej, pasieka pracowała doskonale, ale gdy okoliczne łąki, pola i lasy zostały zamienione na place budowy, tenże kolega, wywiózł całą pasiekę w okolice Charsznicy, gdzie były tereny rolne i lasy.

Gdy większość oficerów starała się jakoś przetrwać okres niewoli, aktywnie spędzając czas w różny sposób – od nauki, uczestniczenia w różnych imprezach, po całodzienną grę w brydża, to niektórzy nie mogli się jakoś dostosować do istniejących warunków i zapadali na choroby psychiczne. Takie psychiczne załamanie kończyło się czasem tragicznie, gdy chory szedł na druty, gdzie był zastrzelony przez Niemców. Takich przypadków było kilka. Większość chorych trafiało do szpitali psychiatrycznych i albo wracało ponownie do obozu, albo ślad po nich znikał. W naszym baraku 7 A miał miejsce jeden przypadek takiej choroby psychicznej, a uległ jej ppor. rez. Łuczak – nauczyciel z zawodu. Pewnego wieczoru zaczął on chodzić po

najwyższych pryczach krzycząc: „muszę stąd uciekać, bo oni chcą mnie zamordować!” Przy tym miał pianę na ustach, a twarz całą czerwoną. Z trudem udało się nam uspokoić go i powiadomić lekarza na izbie chorych. Po wielu kłopotach przyszedł lekarz – dał mu zastrzyk, po którym chory się uspokoił i następnie został zabrany na izbę chorych. Następnego dnia został odwieziony do szpitala i odtąd słuch o nim zaginął – nie wiem czy przeżył, czy też został zamordowany.

Inni oficerowie, którzy nie ulegli załamaniu psychicznemu, a nie mogąc doczekać się wolności usiłowali sami w różny sposób wydostać się za druty. Kończyło się to czasem śmiercią, gdyż zostali zastrzeleni przez wartowników za usiłowanie ucieczki. Wielu jednak udawało się „wydostać za druty”, jednak zostali ujęci przez ludność cywilną i odstawieni z powrotem do obozu, przy czym musieli „odsiedzieć” tygodniowy areszt obozowy. Niemcy twierdzili, że „siedzą” oficerowie nie za to, że uciekali, gdyż Konwencja Genewska tego nie zakazuje, ale za posiadanie niedozwolonych narzędzi ułatwiających im ucieczkę. Byli również i tacy, którym ucieczka się udała i działali na terenie kraju – w podziemiu. Po powstaniu warszawskim jeden z takich uciekinierów powrócił ponownie do naszego obozu jako jeniec biorący udział w powstaniu. Po powstaniu warszawskim kilku oficerów trafiło do naszego obozu, a między nimi major Mancewicz – oficer łączności, - który w roku 1934 w stopniu porucznika, był p.o. dowódcy pierwszej kompanii Szkoły Podchorążych Rezerwy w Zegrzu, w której to kompanii byłem i ja jako podchorąży. Gdy go zobaczyłem ucieszyłem się bardzo i spotykając majora na spacerze zameldowałem się u niego jako wychowanek. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, ale gdy mu powiedziałem, że ja pomagałem mu w konstruowaniu „systemów

łączności” – wtedy przypomniał sobie i ucieszył się, że spotkał swego wychowanka w gronie oficerów!

Wracając do sprawy ucieczek, to trzeba przyznać, że trafiały się również ucieczki komiczne. Jedną z nich była taka, że dwóch oficerów zrobiło podwójne dno w wozie wywożącym nieczystości poza obóz. Sami ukryli się między tymi „dnami”. Gdy wóz został załadowany i ruszył po wyboistej drodze obozowej uszczelnienia stały się nieskuteczne i uciekinierzy zostali zalani nieczystościami. Wszczęli wówczas alarm i zostali uratowani przez wypuszczenie nieczystości na drogę. Za to „odsiedzieli” po dwa tygodnie w areszcie obozowym. Prawdziwym wyczynem ucieczkowym było wyprowadzenie z obozu trzech oficerów przez przebranego za żołnierza niemieckiego oficera polskiego. Ten „niemiecki żołnierz” miał oczywiście wszystkie dokumenty podrobione – upoważniające go do odtransportowania tych oficerów do Poznania. Ta ucieczka była udana i bez ofiar! Jeszcze inna brawurowa ucieczka, miała miejsce wieczorem grudniowym, gdy jeszcze duża ilość oficerów była na spacerze. Z jednego z baraków, piątego batalionu, wybiegło czterech oficerów niosących drewniane wycieraczki jakie znajdowały się przed każdym wejściem do baraku. Pierwszy z nich podbiegł do ogrodzenia z drutu kolczastego i w błyskawicznym tempie wyciął otwór w pierwszym rzędzie drutów i rzuciwszy podaną mu wycieraczkę na leżące „kozy hiszpańskie” wyciął otwór w drugim rzędzie drutów i zniknął w ciemnościach. Za nim następni, w błyskawicznym tempie, przeszli przez otwór i również zniknęli w ciemnościach. Działo się to wszystko w pobliżu wieży strażniczej. Strażnik na wieży był zapatrzony na spacerujących oficerów i nie zwracał uwagi na to co działo się na dole. Zorientował się dopiero, gdy usłyszał odgłos uciekających przez pole po



zmarzniętej ziemi. Zaczął strzelać w tamtą stronę, ale nie trafił nikogo. Była to udana ucieczka, ale nie dla wszystkich. Jeden z uciekających upadł do wody i zmoczył całe ubranie, a był to okres zimy – i nie mógł dalej uciekać. Jak głosiła „fama” – sam uciekinier zgłosił się na posterunek niemieckiej policji, skąd został najpierw „odtransportowany” do szpitala z zapaleniem płuc, a następnie powrócił do obozu.

Inni oficerowie postanowili w inny sposób wydostać się z obozu! Grupa oficerów z baraku nr 25, leżącego najbliżej „odrutowania” obozu, postanowiła wydostać się z obozu, drażąc tunel w kierunku ogrodzenia. Była to trudna i mozolna praca. W pracach tych znaleźli się również specjaliści z górnictwa, którzy kierowali robotą. Jako obudowę drażonego tunelu używano desek z łóżek barakowych. Największym problemem było pozbycie się ziemi z wykopu. Ale i tu pomysłowość nie zawiodła. Była grupka oficerów, którzy w niewielkich woreczkach, wynosili ziemię i rozsypywali ją po terenie obozowym tak aby nie było jakiegoś śladu! Prace przy „wykopie” trwały dosyć długo, a tunel dochodził już do drutów ostrzegawczych. Dotąd nie wiadomo czy na skutek doniesienia „szpicla”, czy też na zadziałanie sygnalizacji podziemnej będącej wokół ogrodzenia obozu – Niemcy zdołali zlokalizować miejsce wykonywanego wykopu. Tunel został zasypany od zewnątrz, a kilku oficerów powędrowało do obozowego aresztu na tygodniowy „wypoczynek”. Od tego czasu wachmani chodzili codziennie do baraków i liczyli deski w łóżkach.

Trzeba nadmienić że Niemcy mieli swoich „informatorów” wśród kadry oficerskiej, którzy rekrutowali się bądź to z Ślązaków, bądź też z oficerów pochodzenia niemieckiego. W baraku 7 B wykryto takiego donosiciela, którego Niemcy z honorami musieli wyprowadzić z obozu.

Żołnierze niemieccy nieśli jego walizkę a on dumnie kroczył za nimi. W tym czasie jeden z oficerów baraku nr 65 – wygrywał mu na trąbce melodię: „W mogile ciemnej śpij na wieki”. Ja i wielu oficerów przyglądało się zza zamkniętych okien, tej ewakuacji szpicla. Były też inne próby ucieczek, ale były to wydarzenia mniej głośne i nie docierały do ogólnej wiadomości!

Ja należałem do tej większości, która po załamaniu się frontu niemieckiego pod Stalingradem, uważała, że czas wyzwolenia jest bliski i nie warto ryzykować. Ale był to dopiero rok 1943 – rok pełen niespodzianek na arenie międzynarodowej. O ile w nas wstępował duch optymizmu, że wkrótce przestaniemy być jeńcami wojennymi i staniemy się znowu ludźmi wolnymi, o tyle Niemcy stawali się bardziej nerwowi widząc nasze zadowolenie z przebiegu wojny. Nasiliły się rewizje w barakach przez „Jagdkommando” i różne szykany w postaci niszczenia paczek otrzymywanych z kraju i zagranicy (PCK), które odbywało się w ten sposób, że kontrolujący Niemiec ciał na kawałki chleb, mieszał cukier z innymi produktami, dziurawił puszki z konserwami, itp. Zagrożono nawet zakazem urządzania imprez artystycznych oraz nauczania! Ale szczytem represji była strzelanina do spacerujących oficerów w lutym 1943 roku, gdzie zginęło dwóch oficerów, a trzech zostało rannych. W tym dniu byliśmy z Romanem, na wieczornym spacerze po placu apelowym szóstego batalionu, gdyż pogoda była znośna! Gdy usłyszałem głos trąbki oznajmiającej koniec spaceru, powiedziałem do Romana: „Chodźmy do baraku, bo po co prowokować Niemców!” Roman upierał się, abyśmy zrobili jeszcze jedno kółko wokół placu, ale ja kategorycznie sprzeciwiłem się temu i udaliśmy się w kierunku baraku 7 A. Gdy wchodziliśmy do naszego baraku, usłyszeliśmy

strzelaninę i stukot biegnących. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że dwóch oficerów zostało zabitych a trzech zostało rannych. Powiedziałem wówczas do Romana – „gdybym cię usłuchał to może my bylibyśmy między tymi zabitymi”. Moim zdaniem byli też winni oficerowie, którzy po usłyszeniu pierwszej trąbki nie schodzili z placu spacerów, a czekali na drugą trąbkę, która oznaczała, że należy zamykać barak i nie wychodzić aż do ranka. Nasze władze obozowe, przestrzegały wszystkich, aby nie stwarzać pretekstu do jakichkolwiek interwencji ze strony niemieckiej. Ale brat Polak zawsze udaje mądrzejszego niż jest w rzeczywistości, a skutki bywają oplakane – czego dowodem była ta strzelanina i śmierć dwóch ludzi.

Drugim ważnym momentem tegoż roku, było podanie przez Niemców, do naszej wiadomości „zbrodni katyńskiej” dokonanej przez ZSRR na oficerach polskich. W gazecie obozowej wydawanej przez Niemców w języku polskim – zwanej pospolicie „gadzinówką”, ukazywały się nazwiska ekshumowanych oficerów polskich. Wówczas większość z nas rzucała się do czytania tej gazety by odszukać nazwiska znajomych lub krewnych. Ja czytając kolejną listę zamordowanych w Katyniu, znalazłem dwa bliskie mi nazwiska. Jedno to ppor. Czajka Stefan – kolega i przyjaciel – nauczyciel w szkole podstawowej nr 1 w Olkuszu, a w pracy społecznej, w której i ja uczestniczyłem, był komendantem Powiatowym Związku Strzeleckiego w Olkuszu. Drugie to: ppor. Michał Ornatkiewicz – inżynier i profesor w PSGH w Dąbrowie Górniczej – kierownik Wydziału Elektryczno-Mechanicznego i wychowawca naszego rocznika studiów. Tragedia ta bardzo wstrząsnęła nami i wielu z tych, którzy dotąd cieszyli się ze zwycięstwa Armii Czerwonej, zaczęło się zastanawiać nad tym co zrobią z nami „rusy”, gdy dostaniemy się

w ich ręce. Wówczas przypomniało mi się to co mówił mój plutonowy i byłem zadowolony, że mnie uświadomił, bo może i ja znalazłbym się na tej tragicznej liście. Coraz większa ilość oficerów zastanawiała się, gdzie by ewentualnie wyemigrować, aby nie stracić się łupem zwycięskiej Armii Czerwonej. Wielu też zaczęło intensywnie uczyć się języka angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego itp. Ja też idąc za podmuchem zacząłem uczyć się języka hiszpańskiego, ale po kilku miesiącach zrezygnowałem z dalszej nauki.

To co działo się na całym świecie, a w szczególności na frontach, tylko w niewielkich fragmentach docierało do nas – oficerów niższego stopnia. Starszyzna coś tam kombinowała – dzieliła się na grupy, łączyła się w grupy, jedni byli za, a inni przeciw. A właściwie nie było wiadomym o co właściwie chodzi. Ja i wielu innych nie interesowaliśmy się tymi sprawami i mieliśmy swoje kierunki zainteresowania. Jak już wspomniałem w tym najgorętszym 1944 roku „bawiłem się” w pszczelarza. W obozie życie płynęło w coraz to gorszych warunkach. W okresie zimy 1942/1943 roku Niemcy dostarczali nam do ogrzewania baraku tylko jedną wanienkę węgla na tydzień, a w pozostałe dni tygodnia, jakieś zmurszałe drewno! W okresie zimowym 1943/1944 roku już całkowicie przestali dawać nam węgiel a ograniczali się do dostarczania, jednej wanienki odpadów drewna dziennie na cały barak, gdzie były dwa piece kaflowe. W takich warunkach zaczęły się szerzyć choroby „przeziębieniowe”, jak angina, grypa, katar, kaszel a nawet zapalenie płuc. Kombinowaliśmy z naszymi żołnierzami, którzy dowozili węgiel do kuchni obozowej, i od nich – od czasu do czasu udawało nam się „wytankować” trochę węgla do ogrzania baraku. Mnie również choroby te nie omijały, gdyż leżąc na najniższej pryczy narażony

byłem na powiew zimnego powietrza. Musiałem, w okresie zimowym, chodzić do izby chorych na „pędzlowanie” gardła i popijać jakieś „mikstury”. Aby ratować się chociaż trochę przed zimnem, uszyłem z jednego koca „śpiwór”, do którego wsuwałem się idąc spać i przykrywałem się drugim kocem, płaszczem i mundurem. W tym okresie kapitan Zygadłowicz mieszkający w tym samym „boksie” co ja, nawiązał gdzieś kontakty w kraju, skąd przysyłało mu większą ilość różnego rodzaju lekarstwa, którymi handlował. Były to w owym czasie leki nowoczesne, jak „Cibasol”, „Prontosil” i inne mało znane nawet naszym lekarzom. Aby pozbyć się dolegliwości, wielu z nas korzystało z tych „leków” kupując je u kapitana, nie wiedząc dokładnie jakie jest ich działanie. Opieraliśmy się tylko na wyjaśnieniach kpt. Zygadłowicza. Skutek działania tych leków był różny – pozytywny i negatywny. Sądzę, że na skutek niekontrolowanego przez lekarza, używania tych leków moja wątroba została poważnie zrujnowana. Działo się to już w początkach 1944 roku, gdy odczuwałem ból w prawym boku, ale nie wiele się tym przejmowałem. Wydawało mi się, że to jakaś chwilowa niedyspozycja żołądkowa. Ale pewnej nocy zbudził mnie silny ból w prawej stronie brzucha. Ból był tak silny, że jęcząc obudziłem śpiącego obok mnie doktora porucznika Bieńka. Doktor Bieniecki zbadał mnie i orzekł, że to atak wyrostka robaczkowego i trzeba będzie jak najszybciej operować. Zrobiło się trochę szumu i zanieśiono mnie do izby chorych. Tam dano mi jakiś zastrzyk i coś do wypicia, co zmniejszyło mój ból, ale musiałem czekać na decyzję niemieckiego lekarza, kiedy i gdzie będę operowany. Rano dnia następnego przyszedł lekarz niemiecki – zbadał mnie i kazał pobrać krew do analizy. Około południa przyszedł do mnie doktor Szubzda i oświadczył, że nie mam zapalenia wyrostka a są to

bóle albo od wątroby lub nerek i w tych warunkach muszę wracać do baraku.

Jakież było zdziwienie kolegów z baraku, gdy wróciłem na własnych nogach z dobytkiem osobistym pod pachą. Następnie lekarze z izby chorych stwierdzili, że jest chora wątroba i zaczęli mnie kurować. Jedynym dostępnym lekiem w obozowych warunkach była gorzka sól, którą używałem gdy ból zaczął się nasilać. Z tą chorobą przeżyłem jakoś do dzisiaj mając ukończone 82 lata i czuję się nieźle. Po wyjściu z obozu, bez przerwy leczyłem się u różnych specjalistów, a także u różnego rodzaju zielarzy i znachorów. W tym okresie mój kolega Roman, zachorował na zapalenie płuc i kilka tygodni przeleżał w izbie chorych. Był jedną nogą na drugim świecie, ale jakoś się wykurował. Ja czułem się jakoś lepiej i przez cały okres jego choroby zanosilem mu posiłki do izby chorych sporządzone przeze mnie w baraku z produktów paczkowanych.

Tak przy mniejszych czy większych kłopotach przeżyliśmy okres zimowy 1943/1944 roku. Gdy miałem jakieś kłopoty to przypominało mi się powiedzenie naszego profesora Ziółkowskiego: „Jakoś to będzie bo jakoś być musi, bo jeszcze tak nie było żeby tego jakoś nie było”. Nie przejmowałem się i jakoś mijał ten czas! Rok 1944 był rokiem załamania się potęgi militarnej Niemiec i przechylenia się zwycięstwa na stronę Aliantów. Wielkie sukcesy osiągnęła Armia Czerwona, o czym dowiadawaliśmy się z tajnego podsłuchu radiowego. Niemieckie gazety i radio podawały, że wojska niemieckie wycofują się na z góry wyznaczone pozycje.

W drugi dzień Zielonych Świątek – w godzinach popołudniowych, usłyszeliśmy potężny szum lecących samolotów. Kto żyw wybiegł z baraku, aby zobaczyć co się dzieje. Nad naszym obozem

przelatywała z zachodu na wschód, grupa samolotów alianckich. Trudno było ich liczebność ustalić. Widać było błyszczące w słońcu sylwetki samolotów – były większe i mniejsze. Gdy ta gromada samolotów minęła teren naszego obozu, wyleciały z pobliskiego polowego lotniska dwa małe samoloty myśliwskie, niemieckie w kierunku lecącej grupy samolotów alianckich. Obserwowaliśmy, jak w pewnym momencie nastąpił od strony grupy samolotów, błysk, trochę białego dymu i spadające samoloty niemieckie, a w powietrzu zobaczyliśmy, dwa spadochrony opadające za zabudowaniami Woldenbergu. Jak informował nas po tym kapitan niemiecki Meierhofer – obydwie samoloty zostały zestrzelone, a piloci zabici, i kilkakrotnie powtarzał: „szkoda takie młode ludzie zginęły”. Drugim bulwersującym wydarzeniem był zamach na Hitlera, po którym niemieccy oficerowie otrzymali rozkaz pozdrawiania przez podawanie ręki po hitlerowsku, zamiast dotychczasowego salutowania dłonią do daszka czapki.

Na jednym z apeli porannych kiedy po raz pierwszy sprawdzający nas kapitan niemiecki podniósł rękę – z hitlerowskim pozdrowieniem – rozległ się wśród naszych oficerów ogólny śmiech. Na to kapitan niemiecki ryknął, że każe do nas strzelać. Wszyscy natychmiast ucichli i odtąd nie reagowaliśmy na podnoszenie ręki przez kapitana. Mimo tych różnych wydarzeń życie w obozie płynęło własnym korytem. Odbywały się różne szkolenia, kursy, występy chóru i orkiestry oraz teatru. Nikt bowiem nie wiedział kiedy działania wojenne zblizną się do obozu i co Niemcy zamierzają z nami zrobić. Od czasu do czasu słyhać było dalekie wybuchy, tak w dzień jak i w nocy.

Tak przetrwaliśmy do zimy 1944/1945 roku. Pod koniec roku 1944

coraz częściej było słycać dalekie wybuchy, a Niemcy stali się coraz bardziej nerwowi. Dokonywali częstych rewizji w barakach, a przy tym kradli co im w ręce wpadło. Mnie w tym czasie zabrano tę pelerynę wojskową, którą otrzymałem od nieznanego mi kolegi w Horyniu, w pierwszym dniu niewoli, a w następnych rewizjach zabrano mi z walizki „etui” z przyborami do golenia. Mimo, iż zgłaszaliśmy te kradzieże do komendy niemieckiej, jednak nie było reakcji z jej strony. Zima, która rozpoczęła się w 1944 roku, była śnieżna i mroźna, a my w baraku trzęśliśmy się z zimna, gdyż to co otrzymywaliśmy do ogrzewania, było niewystarczające aby utrzymać znośną temperaturę w baraku. Nadszedł styczeń 1945 roku, a z nim częste kanonady, słyszane od strony wschodniej. W dniu 24 stycznia, Niemcy poinformowali nas, że wkrótce nastąpi ewakuacja obozu. Tej nocy, prawie nikt nie spał i tylko przygotowaliśmy się do wymarszu. Ja przeglądałem swoje rzeczy i zakwalifikowałem co będę z sobą zabierał. Z posiadanego prześcieradła, zszyłem mały plecak, do którego włożyłem poduszeczkę, którą otrzymałem z domu, trochę jedzenia i bieliznę osobistą, którą miałem nie używaną. Przygotowałem dwie zmiany bielizny osobistej, którą miałem włożyć na siebie z chwilą ogłoszenia pogotowia marszowego, oraz dwie pary ciepłych skarpet, które sam zrobiłem na drutach z posiadanego swetra.

Z Romanem zrobiliśmy z jego drewnianego kuferka sanki przybijając do boków deski, które stanowiły płozy. Roman miał także kołdrę watowaną, którą włożył do uszytego plecaka. Pod tą kołdrą spaliśmy te kilka nocy w czasie naszej późniejszej wędrówki ewakuacyjnej. Późnym wieczorem otrzymaliśmy rozkaz, aby przygotować się do wymarszu, według kolejności batalionów.



Ponieważ byliśmy w szóstym batalionie wymaszerowaliśmy jako ostatnia grupa – około południa. W zwartym szeregu wyszliśmy z obozu eskortowani przez grupę żołnierzy niemieckich i jednego oficera niemieckiego. W czasie marszu po obydwu stronach kolumny maszerowali żołnierze niemieccy w odstępach co dziesięć metrów. Z bram obozu kolumna skierowała się w kierunku zachodnim. Początkowo maszerowaliśmy główną drogą, którą przejeżdżało mnóstwo pojazdów mechanicznych, jak i konnych, załadowanych ludźmi i wszelakim sprzętem. Wszystko to zdażało w kierunku zachodnim. Po paru godzinach marszu zostaliśmy skierowani na boczne drogi, które były mocno zaśnieżone mimo, iż przed nami przeszły już poprzednie grupy oficerów. Tak oto opuściliśmy Oflag II C w Woldenbergu w dniu 25 stycznia 1945 roku, w którym przebywaliśmy od czerwca 1940 roku. Chorzy i starsi wiekiem oficerowie pozostali w obozie w budynkach izby chorych. Pierwszy dzień marszu upłynął spokojnie a każdy z nas jakoś się pocieszał, że może będzie to trwało bardzo krótko. Na noc zapędzono nas do wielkiej stodoły, gdzie mieliśmy spędzić noc. Wielu z nas ulokowało się na snopkach słomy, a ja z Romanem, rozebrawszy się z munduru spokojnie zasypialiśmy przykryci kołdrą watowaną. Gdy się przebudziliśmy w nocy, zobaczyliśmy wielu oficerów biegających po klepisku dla rozgrzewki, gdyż byli zmarznięci, nie mając takiego komfortu jak my z Romanem. O świcie, po zjedzeniu części swoich zapasów, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Maszerowaliśmy cały dzień, a w godzinach popołudniowych dotarliśmy do jakiegoś folwarku. Niemców już tam nie było, a tylko zostali dwaj żołnierze jeńcy – Anglicy, którzy opatrywali bydło i trzodę. Rozlokowaliśmy się w budynku mieszkalnym i w baraku, w którym

mieszkała prawdopodobnie służba folwarczna. Były łóżka, stoły, krzesła i różny sprzęt gospodarstwa domowego. Po złożeniu bagaży rozeszliśmy się po zabudowaniach i po terenie w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, bo nasze zapasy żywności miały się ku końcowi, a nie wiedzieliśmy jak długo będziemy jeszcze maszerować. Ja myszkując po zakamarkach, natknąłem się na parownik w którym parowano ziemniaki dla trzody. Parnik nie był czynny, ale obok niego leżały na metalowej wannie parowane ziemniaki. Wziąłem jednego i stwierdziłem, że ziemniaki są jeszcze ciepłe. Krzyknąłem na Romana, że znalazłem „wyżerkę”. Przybiegł Roman i zabraliśmy sporą ilość tych ziemniaków i zanieśliśmy je do naszego pomieszczenia mieszkalnego gdzie zaczęliśmy konsumować. Były to ziemniaki parowane w łupinach i musieliśmy je obierać ze skórki. Ja zacząłem poszukiwać soli, aby ziemniaki były smaczniejsze i znalazłszy ją zaczęliśmy je zajadać. Gdy zobaczyli to inni koledzy, zaczęli pytać skąd mamy takie ziemniaki, gdyż i oni byli głodni. Wskazałem im miejsce, gdzie można je znaleźć i wkrótce wielu kolegów „opychało się” ziemniakami z parownika. Na drugi dzień skoro nastąpił świt, ruszyliśmy całą kolumną w dalszą drogę. Następną noc spędziliśmy znowu w jakimś folwarku, ale zostaliśmy częściowo rozlokowani w małych domkach parterowych „bliźniaczych”. Budynek był tak zbudowany, że mieszkały w nim dwie rodziny. Każda rodzina miała pokój i kuchnię z oddzielnym wejściem. W budynkach tych nie było nikogo, a ciepłe jeszcze piece świadczyły, że ich mieszkańcy niedawno je opuścili. Od wejścia do mieszkania zaczęliśmy penetrować czy jest coś do zjedzenia. Znaleźliśmy trochę chleba i w garnku trochę zupy „Eintopf”. Gospodyni tego mieszkania była widocznie dobrą gospodynią, bo w szufladach kredensu kuchennego znalazłem dużo

różnego rodzaju przypraw, ale to nie nadawało się do bezpośredniego spożycia. Któregoś kolejnego dnia przemaszerowaliśmy przez miasteczko Belinchen – obecnie Barlinek i znowu po przejściu go zanurzyliśmy się w zaśnieżone przestrzenie.

Nie zastanawialiśmy się nad tym jaki to dzień tygodnia i jaka data w kalendarzu. Po drugim i trzecim dniu marszu wielu oficerów porzucało przy drodze zbędne przedmioty, które przeszkadzały im w marszu. Były tam instrumenty muzyczne, książki a nawet części odzieży. W pobliżu miejscowości, gdzie znajdowali się Polacy wywiezieni na roboty przymusowe, tych wyrzuconych przedmiotów było najwięcej. Na trasie, którą maszerowaliśmy, nie spotkaliśmy żadnego cywila niemieckiego. Wszystko uciekło na zachód, a pozostali na miejscu tylko pracownicy z robót przymusowych. Przedostatniego dnia marszu szliśmy do późnych godzin wieczornych w śnieżnej zamieci. Drogi były zawiane śniegiem. Prowadzący oficer niemiecki zabłądził i cały transport zatrzymał się w szczerym polu nie wiedząc co dalej będzie. Po krótkich pertraktacjach naszych oficerów z niemieckim oficerem, postanowiono, że udamy się na przełaj przez zaśnieżone pole w kierunku mającej na widnokręgu grupie budynków. Po krótkim marszu dotarliśmy do dużego gospodarstwa rolno-hodowlanego. Był to dużych rozmiarów budynek murowany w którym mieściły się stajnie, obora dla bydła, stodoła na słomę i narzędzia rolnicze. W pobliżu tego budynku znajdował się mały parterowy budynek, prawdopodobnie był to budynek mieszkalny właściciela gospodarstwa. Zapędzono nas do dużego budynku i każdy szukał tam najlepszego miejsca dla odpoczynku. Ja z Romanem wdrapaliśmy się po drabinie na strop nad oborą bo uważaliśmy, że tam będzie najcieplej. Było tam trochę słomy, na której ulokowaliśmy

się dosyć wygodnie. Większość oficerów pozostała na dole w pomieszczeniu dla maszyn rolniczych. W nocy mało kto spał, gdyż było słycać dalekie wybuchy a co chwila ukazywała się świecąca rakietą. O świcie Niemcy zaczęli organizować wymarsz, ale wkrótce wpędzono nas do stodoły i zamknięto drzwi, a wszyscy żołnierze niemieccy, razem z oficerem wsiedli na sanek zaprzężonych końmi i szybko odjechali.

Ogólna była konsternacja, bo nie wiedzieliśmy co dalej robić. Nasze władze zarządziły, aby nikt nie wychodził ze stodoły i żeby zachować spokój. Około południa, na tle istniejącego zagajnika, ukazały się trzy czołgi, które po dojechaniu na skraj zagajnika zatrzymały się. Z tej odległości nie można było rozpoznać czyje to czołgi. Nasi starsi oficerowie dyskutowali jak dotrzeć do tych czołgów i powiadomić je, że tu znajdują się oficerowie polscy. W czasie tej dyskusji wystąpił por. marynarki Stanisław Kubin, który mieszkał razem ze mną w baraku 7A i oświadczył, że on pójdzie do tych czołgów. Zgodzono się na to i wyruszył on na przełaj w kierunku czołgów. Ustalono, że gdyby to były czołgi niemieckie, to powiadomi ich dowódcę, że eskorta niemiecka uciekła, a my nie wiemy co mamy dalej robić. Gdyby zaś były to czołgi radzieckie, to ich powiadomi o naszym tu istnieniu. Por. Kubin władał biegle językiem niemieckim i rosyjskim a zatem mógł się porozumieć z dowódcą tych czołgów. Idąc tak na przełaj, wymachiwał chusteczką do nosa. My przyglądaliśmy się całej tej eskapadzie przez uchylone dachówki, którymi był pokryty budynek. Gdy por. Kubin dotarł do tych czołgów wychyliła się sylwetka z czołgu i po krótkiej chwili por. Kubin wsiadł na czołg, który zaczął jechać w naszym kierunku. Okazało się, że były to czołgi radzieckie. Przyjechał kapitan radziecki, który oświadczył nam, że już od trzech dni są w pogodni za

nami, aby nas oswobodzić, gdyż po drodze znajdowali ślady naszego przemarszu. Polecił nam aby gromadnie nie wychodzić na zewnątrz budynku, gdyż może to być niebezpieczne. Oni są „czołówką” pancerną, a na wojnie może być różnie. Również polecił nam, że jeżeli do godziny dwudziestej drugiej sytuacja się nie zmieni, to w nocy mamy się udać do „tyłu”. Wszyscy podskakiwali z radości, że nareszcie skończyła się niewola. Niektórzy zaś, bardziej praktyczni, pomyśleli o tym co można by zjeść, na tę okazję. Jedni zabili prosiaka i zaczęli gotować mięso w kotle znajdującym się w zabudowaniach gospodarczych, a inni zaczęli doić krowy i rozdawać mleko. Kilku oficerów pojechało beczkowozem do studni po wodę by napić bydło. Ja skorzystałem z mleka, a Roman najpierw zjadł trochę mięsa, a potem popił mlekiem. Gdy zobaczyłem takie tłuste mleko razem ze słoniną to od razu straciłem ochotę do jedzenia. Na wszelki wypadek wziąłem kawałek tego mięsa i zawinawszy go w chusteczkę włożyłem do mego plecaka.

Ponieważ do godziny dwudziestej drugiej nic się nie zmieniło, nasi dowódcy zarządzili wymarsz trasą wskazaną, przez kapitana radzieckiego. Idąc tą trasą widzieliśmy co kilkadziesiąt metrów, stojący czołg radziecki. Wokół była cisza i w czołgach żołnierze widocznie spali, gdyż w pobliżu nie widzieliśmy żadnego żołnierza radzieckiego. O świcie dotarliśmy do rejonu w pobliżu miasteczka Belinchen. Miasteczko to było prawie całe w płomieniach a luna oświetlała nam drogę. Nie doszliśmy do miasteczka, gdyż stojący żołnierz radziecki wskazał nam drogę w prawo omijającą płonące miasteczko. Jak się później okazało, zostaliśmy skierowani na główną oś marszu wojsk radzieckich. Gdy zrobiło się już zupełnie widno, zobaczyliśmy na okolicznych polach rozbite samoloty, wraki różnych

pojazdów mechanicznych oraz kilkanaście trupów żołnierzy niemieckich. Gdy weszliśmy na główną trasę marszu zobaczyliśmy niekończący się sznur różnych pojazdów. Były tam samochody ciężarowe, działa z ciągnikami, a także zaprzęgi konne. Na jednym z załadowanych samochodów ciężarowych, siedziała grupa żołnierzy radzieckich a jeden z nich grał na akordeonie. Jeden z przechodzących obok mnie naszych oficerów zwrócił się do grającego żołnierza, aby zagrał coś wesołego, a siedzący drugi żołnierz czystą polszczyzną odpowiedział: „A wy zaśpiewajcie Jeszcze Polska nie zginęła” i cała grupa siedząca na samochodzie wybuchła śmiechem. Idący koledzy, nasi oficerowie zwrócili uwagę pytającemu koledze: „po co się odzywasz – masz dobrą odpowiedź”. Odtąd nikt z nas nie próbował nawiązać rozmowy z żołnierzami radzieckimi. Idąc wzdłuż trasy marszu wojsk radzieckich widzieliśmy na drodze wiele trupów żołnierzy niemieckich zmiażdżonych przez czołgi radzieckie, a również po bokach trasy leżało dużo trupów żołnierzy niemieckich. Był to przykry widok. Widocznie w tym miejscu rozegrała się bitwa, a nacierające wojska radzieckie nie miały czasu aby usunąć zwłoki z drogi i jeździły po nich.

Po południu dotarliśmy do jakiejś miejscowości, gdzie znajdował się folwark. Ja z Romanem i kilku oficerów, ulokowaliśmy się w budynku mieszkalnym właściciela folwarku. Na ścianach wisiały portrety w oficerskich mundurach. Widocznie właścicielami byli wyżsi oficerowie Wehrmachtu. W odległości około pięćdziesięciu metrów, był barak drewniany, w którym mieszkali rosyjscy robotnicy przymusowi. Jeden z robotników zaprosił nas do wnętrza i tam zobaczyliśmy jak ci ludzie mieszkali. Była to wielka hala przegradzana w kilku miejscach ściankami drewnianymi. Były tam łóżka, stoły i ławy i wszyscy

mieszkający wychodzili na ten korytarz w środku. Byli tam mężczyźni, kobiety a nawet widziałem kilkoro dzieci. Jak na warunki „bojowe” noc przeszła spokojnie i rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Maszerowaliśmy cały dzień w huku dział, latających samolotów i palących się zabudowań. Droga do domu była jeszcze daleka ale pocieszaliśmy się tym, że już wracamy do kraju.

Kolejną noc spędziliśmy znowu w jakimś dworze. Był to duży budynek mieszkalny, którego wyposażenie wnętrza wskazywało na dobrego gospodarza. Wnętrze było już częściowo zdemolowane przez żołnierzy radzieckich. Lustra w pokojach były rozbite pociskami, a nawet preparowana czapla (wypchana) nie zaznała spokoju bo miała złamany dziób. Gdy tak zaczęliśmy rozlokowywać się w tych pomieszczeniach mieszkalnych, wszedł major radziecki z „dieńszczykiem” (żołnierzem) i zaczął rozglądać się po pokojach, a żołnierz wystrzelił kilka razy w sufit z pistoletu i krzyknął: „dawaj czasy”. Podbiegał do każdego oficera, oglądał mu rękę i szukał w kieszeniach. Ja miałem akurat zegarek na ręce, który miałem od czasu powołania na wojnę. W czasie „po oswobodzeniu” nosiłem go w plecaku a akurat w tym dniu włożyłem go na rękę. Gdy żołnierz ten zbliżył się do stojącego w pobliżu starszego wiekiem kolegi i krzyknął „dawaj czasy” ja akurat zdejmowałem buty i miałem odsłoniętą lewą rękę z zegarkiem. Gdy żołnierz ten spojrzał w moim kierunku zobaczył u mnie zegarek na ręce – jednym skokiem znalazł się przy mnie, wystrzelił z pistoletu i krzyknął: „dawaj”. Co było robić w takiej chwili zdjąłem zegarek i dałem mu. Następnie wchodził do kolejnych pokoi, gdzie byli nasi oficerowie i postępując w podobny sposób odbierał zegarki. Jak potem policzyliśmy to zabrał osiemnaście zegarków. Wszystkim wyczynom żołnierza przyglądał się major, chodząc ze

stoickim spokojem za żołnierzem. Szczęście miał tylko Witold Barczuk, któremu tenże żołnierz zabrał zegarek kieszonkowy, zwany pospolicie „buksiakiem”. Był to najtańszy zegarek produkcji niemieckiej. Witold znał dobrze język rosyjski, gdyż był nauczycielem na wschodzie, na jakiejś większej wisi, gdzie posługiwano się językiem rosyjskim i ukraińskim. Po krótkiej dyskusji z tym żołnierzem, ten ostatni wyjął z kieszeni zegarek przyłożył do ucha i krzyknął: „idiot”, i schował do kieszeni, a następnie wyciągnął drugi zegarek, przyłożył do ucha i krzyknął „nie idiot” – podając Witkowi ten zegarek. Jak potem się okazało był to złoty zegarek marki „Omega”.

Będąc na kuracji w Sopocie, odwiedziłem Witolda, który tam mieszkał z rodziną i był docentem w Instytucie Morskim. Gdy zaczęliśmy wspominać czasy obozowe Witold Pokazał mi ten złoty zegarek. Jak „wysoka kultura” była w Związku Radzieckim, że żołnierz i major nie wiedzieli że zegarek trzeba nakręcać! Gdy nasi starsi oficerowie poszli do komendanta radzieckiego ze skargą na takie postępowanie ich oficera, tam mu oświadczone: „pokażcie który to był oficer to go zaraz rozstrzelamy”. Były to oczywiste kpiny, gdyż wiedział dokładnie, który jego oficer, w stopniu majora był na kontroli. Takie to było pierwsze spotkanie z radzieckimi oficerami – naszymi „oswobodzicielami”. Oswobodzili nas nawet od zegarków!!! Jak wielka była „kultura” w Związku Radzieckim może świadczyć moja rozmowa z podoficerem radzieckim, której treść przytaczam w języku polskim, gdyż odbywała się ona dwujęzycznie. Ten podoficer słabo mówił po polsku, a ja słabo po rosyjsku, ale jakoś wiedzieliśmy o co chodzi. Powiedział on do mnie: „U was w Polsce to brak jest kultury”. „Dlaczego?” – zapytałem. O on odpowiedział: „Bo przeszedłem całą Polskę od wschodu na zachód i nigdzie nie



spotkałem odwszalni. U nas odwszalnia jest prawie w każdej wiosce”. Taka to wysoka kultura panowała w ZSRR. Ale wracając do naszej wędrówki do kraju, stwierdzam, że odbywała się spokojnie. Którejś kolejnej nocy zatrzymaliśmy się w folwarku niemieckim. Była tam już spora grupa Polaków wracających z robót przymusowym w Niemczech. Każdy rozglądał się co można by zabrać ze sobą do Polski. Ja penetrując piwnice tego budynku znalazłem kilka „weków” z konserwami oraz dwa bochenki chleba. Jeden z tych „weków” przyniosłem nawet do domu, a był to indyk w sosie własnym. Chleb ten służył Romanowi na resztę czasu marszu.

Wędrując w dzień i odpoczywając w nocy, dotarliśmy do miejscowości Krzyż (Kreuz), która była pierwszą miejscowością po drugiej stronie byłej granicy polsko-niemieckiej. Miasteczko było całkowicie opustoszałe i tylko żołnierze radzieccy wynosili różne przedmioty z domów i ładowali na samochody. W bramie jednego z domów znaleźliśmy zastrzelonego cywila – mężczyznę, a poza tym wszystkie domy były puste i tylko wyłamane drzwi świadczyły, że zaglądali tu żołnierze radzieccy. Z Romanem ulokowaliśmy się w jednym z budynków w pobliżu dworca kolejowego. Drzwi były wyrwane i mieliśmy łatwy dostęp do wnętrza budynku. Tam przespaliśmy noc a następnie z całą grupą oficerów powędrowaliśmy dalej na wschód. Tego dnia znaleźliśmy się już na terenach dawnej Polski. Na noc zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi, gdzie przyjmował nas tamtejszy kowal. Ja i Roman zostaliśmy zaproszeni przez żonę kowala na posiłek. Nałożyła nam kowalowa po pełnej misce ziemniaków okraszonych mocno słoniną a do popicia mieliśmy wspaniałe żurek. Była to dla nas prawdziwa uczta, za którą dziękowaliśmy gospodyni nawet na drugi dzień rano przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Gdy przeszliśmy już dawną granicę Polski, zaczęła zmniejszać się maszerująca grupa, gdyż niektórzy szli w kierunku swoich miejscowości zamieszkania. Roman namówił mnie, abyśmy odłączyli się od grupy i poszli w kierunku miejscowości Wronki. Po południu dotarliśmy do Wronek, gdzie Roman oświadczył mi, że musimy się zameldować w komendzie radzieckiej, aby się nas nikt nie czepiał. Wydało mi się to trochę podejrzane, gdyż nigdzie na trasie marszu nie meldowaliśmy się u władz radzieckich – ale zgodziłem się na pójście z nim do takiej komendy. Przed komendą – Roman porozmawiał z wartownikiem po rosyjsku i zostaliśmy wpuszczeni do wnętrza. Gdy weszliśmy do środka – Roman polecił mi abym zostałem na korytarzu, a on wszystko załatwi sam. Wszedł do pokoju komendanta i długo tam przebywał, a ja usiadłem na podłodze, gdyż nie było tam ani krzesła ni ławki.

Po wyjściu Romana od komendanta, udaliśmy się do budynku, gdzie mieścił się Polski Czerwony Krzyż, opiekujący się jeńcami i powracającymi z Niemiec robotnikami. Takim koordynatorem tego był doktor Röler – miejscowy lekarz i volksdeutsch. Jego pomocnikiem był umundurowany, z opaską Czerwonego Krzyża – młody mężczyzna.

Jak później dowiedziałem się od miejscowej ludności, był to również były volksdeutsch. W tym budynku, PCK spotkałem znajomego por. Boczara, który tą drogą chciał szybko dojść do Poznania, gdzie miał żonę i syna. Oprócz niego było tam jeszcze dwóch majorów starszych wiekiem i kilka cywilnych osób. Tam we Wronkach musieliśmy czekać ponad tydzień, gdyż w Poznaniu były jeszcze walki i nie wolno było tam pojechać. Jak się okazało komendantem miasta był kapitan, który tu mieszkał i urzędował, co tam było gdzie Roman się meldował – to nie wiem. Komendant ten

zapraszał nas na wspólny posiłek i przy tym podkreślał: „Ja oficer i z robotnika” (jestem oficerem pochodzenia robotniczego). Ja powiedziałem mu, że mój ojciec jest robotnikiem, a ja też przez pewien czas pracowałem jako robotnik. Po tym moim oświadczeniu jakoś nabrał do nas większego zaufania i dalsze wspólne posiłki odbywały się w przyjaznej atmosferze. W wojsku radzieckim – jak później się dowiedziałem, panowała propaganda, że oficerowie polscy to sama burżuazja gnębiąca naród. Aby się nie nudzić, nawiązałem znajomość z kilkoma mieszkańcami Wroniek, którzy zapraszali mnie na herbatkę i pogawędkę. Gdy dowiedzieli się, że jestem z zawodu elektrykiem, zaprowadzili mnie na olbrzymie składowisko materiałów elektrycznych, pozostawionych przez Niemców. Prosili, abym wybrał te materiały elektryczne, które najbardziej są potrzebne do instalacji elektrycznej w budynkach mieszkalnych. Przez trzy dni grzebałem w tym rumowisku materiałowym, aż wyszukałem dosyć sporą ilość materiałów, które zabrali dwaj mieszkańcy Wroniek. Będąc raz na takiej herbatce, byłem namawiany aby pozostać tu we Wronkach, a oni umożliwią mi zagospodarowanie się tutaj, gdyż byłbym im potrzebny jako elektryk. W jednym z mieszkań przedstawiono mi dwie panienki, które mile uśmiechały się do mnie. Odpowiedziałem, że muszę najpierw zobaczyć co dzieje się z moją rodziną i dopiero ewentualnie mogę zdecydować się na powrót do Wroniek. Gdy ja tak kontaktowałem się z miejscową ludnością, mój kolega Roman, zniknął gdzieś na cały dzień, a gdy go zapytałem, gdzie się tak szwenda cały dzień, to zbył mnie nic nie znaczącą odpowiedzią. I tak czas szybko mijał, aż wreszcie otrzymaliśmy wiadomość od kapitana, że droga do Poznania jest już wolna i możemy ruszyć w dalszą drogę – „damoj”.

Na drogę zaopatrzył nas kapitan w bryczkę zaprzęzoną w dwa małe

siwe koniki. Mnie i por. Boczarowi ofiarował również rowery, na których dojechaliśmy aż do Poznania. Pierwszym miastem do którego dotarliśmy były Szamotuły, gdzie zatrzymaliśmy się na trzy dni, gdyż jak nam powiedzieli mieszkańcy – w Poznaniu trwają jeszcze walki, a cytadela broni się jeszcze skutecznie. Ja z Romanem, ulokowaliśmy się na plebanii, gdzie ksiądz proboszcz dał nam do dyspozycji jeden pokój a gospodyni zadbała abyśmy nie byli głodni. W Szamotułach spotkaliśmy oficerów francuskich, którzy przez Polskę wybierali się do Francji, gdyż na zachodzie trwały jeszcze walki. Gdy ja usiłowałem nawiązać jakieś stosunki z miejscową ludnością, to Roman zniknął gdzieś na cały dzień i pojawiał się dopiero o zmroku. Ostrzegałem go aby tak nie łaził, bo go jeszcze ustrzelą, gdyż jest wojna, ale on tylko się uśmiechał. Gawędząc wieczorami, namawiałem go aby jechał ze mną do Olkusza, zanim znajdzie sobie jakieś miejsce w powstającej Polsce, ale nie otrzymałem konkretnej decyzji.

Z Wroniek jechała z nami kobieta – więźniarka, która odsiadywała tam wyrok za zabicie świniaka bez zezwolenia niemieckiego. Za ten czyn mąż jej został przez Niemców rozstrzelany. Prosiła, aby ją zabrać, gdyż jako kobieta obawia się sama podróżować, ze względu na wojska radzieckie. Zabraliśmy ją na bryczkę, na której jechało dwóch majorów, ta kobieta i nasze bagaże, a ja i por. Boczar jechaliśmy na rowerach. Roman jechał na bryczce, aż do Szamotuł. Wychodząc raz na spacer po miejskich ulicach zobaczyłem Romana idącego z jakąś kobietą. Gdy zbliżyłem się do nich, to Roman szybko pożegnał się z nią, a ona zawróciła i zniknęła za najbliższym zakrętem. Z ciekawości pytałem, co to za kobieta, jednak Roman zbył mnie półsłówkami. Kiedy zdecydowaliśmy się jechać dalej, Roman oświadczył, że pozostaje w Szamotułach. Prosiłem go aby napisał do

mnie, gdy się gdzieś ustabilizuje i dałem mu jeszcze mój adres, dodając że gdyby zapomniał adresu, to wystarczy napisać – Olkusz – Emaliernia. I tak po tych kilku latach przyjaźni w obozie rozstaliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Od tej pory słuch o Romanie zaginął – nie napisał do mnie, gdzie i jak się zadomowił, a ja nie znalazłem żadnego adresu jego pobytu.

Gdy po kilku latach byłem na Targach Poznańskich, spotkałem kolegę z baraku ppor. Stefanickiego z którym długo rozmawiałem i wspominaliśmy czasy obozowe. Dowiedziałem się, że mieszka tu w Poznaniu. Pochodził z Lwowa, ale nie mógł tam pojechać z wiadomych względów. Tak rozmawiając powiedziałem mu, że szukam Romana, ale ten odpowiedział mi pospieszenie: „Niech Pan go nie szuka, bo on jest oficerem UB w Poznaniu, a takie szukanie „Ubowca” może być dla Pana niebezpieczne”. Przyjąłem to do wiadomości i zaprzestałem dalszego poszukiwania. Ale gdy kolejny, któryś raz byłem na Targach Poznańskich, spotkałem innego kolegę z baraku ppor. Stefańskiego. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że Roman na czele oddziału zomowców strzelał do ludności manifestującej w 1968 roku. On widział to osobiście!!! Był on mieszkańcem Poznania. Tak oto dowiedziałem się, że mój dobry przyjaciel jest mordercą. Takie to były czasy, że nie można było ufać najbliższemu koledze, któremu w czasie jego choroby pomagałem. Ale wracając do naszej drogi do Poznania, ja i por. Boczar jechaliśmy kilkadziesiąt metrów przed bryczką. W pewnym momencie usłyszeliśmy za sobą krzyk tej kobiety, która jechała z majorami na bryczce. Gdy się obejrzelśmy, zobaczyliśmy naszą bryczkę przed budynkiem – na niej dwóch żołnierzy radzieckich usiłujących zabrać nasze bagaże. Kobieta ta krzycząc wyrwała im z rąk nasze bagaże.

Szybko zawróciliśmy i kręcąc pedałami z całych sił dojechaliśmy do naszej bryczki. Żołnierze widząc nas nadjeżdżających uciekli do tego budynku. Za chwilę z tego budynku wyszło dwóch żołnierzy radzieckich z „pepeszami” i kazali nam iść w kierunku budynku. Kobieta ta została na bryczce trzymając lejce w rękach, aby konie się nie spłoszyły. Kazano nam usiąść na ławce przed budynkiem i czekać. Po pewnym czasie wyszedł z budynku żołnierz z kartką i ołówkiem i zaczął kolejno spisywać nasze dane personalne: „imia i otczestwo, adkuda, kuda” itd. Po chwili wyszedł drugi żołnierz i spisywał to samo co poprzedni. Zorientowaliśmy się, że jesteśmy zatrzymani przez NKWD. Potem zaczęto nas wołać kolejno na przesłuchanie. Jeden i drugi major po wyjściu z budynku byli bladzi i trzęśli się ze strachu. Nic nie chcieli mówić a ręce im drżały. Gdy przyszła kolej na mnie wszedłem do budynku, gdzie stojący na warcie żołnierz wskazał mi drzwi, gdzie mam wejść. Wszedłem do pokoju, gdzie za stołem siedziało dwóch oficerów NKWD, a na stole stała butelka z wódką. Jeden z tych oficerów był prawie kompletnie pijany i z trudem siedział na krześle trzymając się stołu. Po wejściu do pokoju, w którym byli ci dwaj NKWD-owcy, stanąłem na baczność, zasalutowałem i powiedziałem: „zdrastfujtie towariszcze”. Obydwaj zrobili wielkie oczy, a jeden z nich zapytał: „gawarisz po ruski?” – a ja odpowiedziałem: „niemnożko”, a ten pierwszy powiedział: „no to sadis na eto kriesło”. Gdy usiadłem zaczęła się normalna indagacja: „imia i otczestwo, adkuda, kuda itd., na co odpowiadałem trochę po rosyjsku, a trochę po polsku. Po tych formalnościach, ten pierwszy zapytał: „Czemu wy uciekali przed Niemcami, nie bili się a paszli w plien?” Ja odrzekłem: „A wy tożę uciekali, aż pod Moskwę i Stalingrad”. W pewnej chwili ten drugi pijany krzyknął: „szto on

gawarit?” Zorientowałem się, że palnałem gafę i to niebezpieczną i natychmiast dodałem: „ale wy macie dobrego wodza Stalina, który potrafił pobić Niemców, a nasz „kamandir” Śmigły uszoł w Rumuniu i nie było komu dowodzić, to poszliśmy w plien”. To ich uspokoiło, a ten pierwszy zadał mi jeszcze kilka pytań i nalewając sobie wódki do garnuszka dodał: „no to uchadi”. Zapytałem: „możemy już odjechać?” – a ten pierwszy odpowiedział: „uchadite w czortu” i machnął ręką w moim kierunku. Wstałem, zasalutowałem i wyszedłem z pokoju. Gdy wyszedłem z budynku, koledzy skierowali się do mnie z pytaniem, czy możemy już jechać? Ucieszyli się wszyscy, gdy powiedziałem im, że możemy odjechać. Zerwali się z ławki i poszliśmy w kierunku stojącej bryczki. Obydwaj majorzy i ta kobieta jechali na bryczce, a my szliśmy prowadząc rowery, tuż przed bryczką, aby uniknąć podobnych sytuacji przy spotkaniu z żołnierzami radzieckimi. Po drodze spotkaliśmy jeszcze kilka patroli radzieckich, ale nie czepiali się nas.

Jadąc ulicami Poznania, widzieliśmy ślady niedawnych walk. Na drodze leżały dwa zabite konie, a wokoło rozsypane łuski karabinowe i „postrzelane” ściany budynków. Przejeżdżaliśmy obok budynków, gdzie odbywają się Targi Poznańskie, ale ta część Poznania nie była zrujnowana i w niezłym stanie. Tak dotarliśmy do bloku w którym mieszkał por. Boczar i weszliśmy wszyscy do jego mieszkania. Tam pozostaliśmy całą noc i rankiem dnia następnego, po spożyciu śniadania, zacząłem „zbierać się” do dalszej podróży, bowiem do Olkusza było jeszcze daleko! W międzyczasie dowiedziałem się, że pociągi nie dochodzą do Poznania ponieważ pozrywane są wszystkie mosty i trzeba dojść do Swarzędza, skąd podobno odjeżdżają pociągi. Tych dwóch majorów poszło gdzieś w swoją stronę, a ja z tą kobietą

zdecydowaliśmy dojść do stacji kolejowej w Swarzędzu. Podziękowaliśmy za gościnę i udaliśmy się w drogę. Zabrałem mój rower, na którym umocowałem mój bagaż i pożegnawszy się z por. Boczarem i jego rodziną wyszliśmy w kierunku wskazanym nam przez porucznika Boczara. Przeszliśmy przez wiadukt nad torami kolejowymi i weszliśmy do śródmieścia. Tam zobaczyłem skutki wojny i jej tragedię. Główna ulica, w kierunku mostu na Warcie, była zasypana gruzem ze zburzonych domów po obu stronach ulicy. Tylko środek ulicy był odgruzowany, tworząc ścieżkę na której trudno było wyminąć osoby idące w przeciwnym kierunku. Gdy byliśmy w pobliżu mostu jeden z przechodniów zwrócił się do mnie wyjaśniając mi, że z rowerem nie przejdę przez most, gdyż jest jednostronnie zerwany i trzeba wychodzić po drabinie. Wskazując mi inną drogę dodał: „Panie poruczniku, niech Pan idzie tą drogą w prawo, a potem po zamarzniętej rzece, na drugą stronę rzeki. Zastosowałem się do jego wskazówek i poszedłem we wskazanym kierunku. Przed nami szło w tym kierunku wiele ludzi. Gdy byliśmy na środku rzeki nagle usłyszeliśmy gwizd pocisku armatniego i po chwili wybuch. Biegiem przeszliśmy przez resztę koryta rzeki i upadliśmy za małym pagórkiem na drugim brzegu. Było tam już kilkoro ludzi, którzy w ten sam sposób schronili się za pagórkiem. Po chwili usłyszeliśmy drugi strzał i pocisk lecący w kierunku mostu i wybuch. Po tym usłyszeliśmy dalekie „hurra” i nastąpiła cisza! Tylko na moście wszczął się wielki ruch. Znaleźli się tacy co pobiegli w kierunku mostu, aby zobaczyć co tam się dzieje. Reszta nadal leżała za pagórkiem. Jak się okazało Niemcy będący jeszcze w cytadeli poznańskiej, obleganej przez żołnierzy radzieckich i polskich ochotników, wystrzelili ostatnie dwa pociski w kierunku mostu



i następnie poddali się. Pociski te zabiły troje ludzi przechodzących przez most i raniły kilkanaście osób cywilnych. Gdyby nie wskazówki tego przechodnia, który skierował nas inną drogą, to może my bylibyśmy tymi ofiarami. I tu, jak w całej kampanii wrześniowej opatrność czuwała nade mną i skłoniła jednego z kilkudziesięciu przechodniów aby wskazał mi bezpieczną drogę powrotu do domu. Gdy wszystko się uspokoiło, ruszyliśmy w dalszą drogę do Swarzędza. Po śnieżnym i mroźnym styczniu, druga połowa lutego 1945 była ciepła. Śnieg zniknął prawie na wszystkich drogach, a słońce na pogodnym niebie, świeciło dodając nam sił do marszu.

Późnym popołudniem dotarliśmy do dworca kolejowego w Swarzędzu, gdzie już tłumy ludzi oczekiwały na przyjazd pociągu. Ludzie z tobołkami siedzieli lub leżeli w pomieszczeniach dworca. Gdy nadjechał pociąg towarowy większość rzuciła się w kierunku pociągu, aby zająć miejsca w wagonach krytych. W tym tłumie i ja z tą kobietą udaliśmy się w kierunku stojącego już pociągu. Kobieta ta biegła przede mną szukając wolnego miejsca w wagonie a ja prowadząc rower szedłem za nią. Wkrótce znalazła wagon, w którym było niewiele ludzi. Krzyknęła na mnie abym się pospieszył, stojąc już w otwartych drzwiach wagonu. Pomogła mi wstawić rower do wagonu po czym usiedliśmy w kącie wagonu. Gawędząc o tym i owym jechaliśmy dosyć długo, ale miarowy stukot kół po szynach i nastająca ciemność spowodowały, że podłożywszy sobie plecak pod głowę zastygłem głębokim snem.

Gdy zaczęło świtać, robił się ruch w wagonie, obudziłem się. Zerknąłem w kierunku gdzie usadowiła się ta kobieta wieczorem, ale tam nie było nikogo. Kiedy i gdzie wypadła z pociągu – nie wiem, a mój rower stał na swoim miejscu. Wstałem by wyprostować kości

i wyjrzałem przez uchylone drzwi wagonu. Dojeżdżaliśmy akurat do stacji kolejowej w Częstochowie. Gdy pociąg się zatrzymał jakiś kolejarz ogłosił, że pociąg ten dalej nie jedzie i trzeba wysiadać. Gdy wysiadłem z wagonu, zobaczyłem stojący pociąg osobowy, „oblepiony” ludźmi z tobołkami. Zostawiłem mój rower na peronie, a z plecakiem udałem się na poszukiwanie jakiegoś miejsca w pociągu. Gdy tak szedłem wzdłuż pociągu z okna jednego z wagonów wychyliła się starsza kobieta i krzyknęła: „Panie niech pan tu idzie bo tu zmieści się pan w naszym przedziale”. Skorzystałem z oferty i wgramoliłem się do przedziału w którym były same starsze kobiety z tobołkami. Gdy pociąg ruszył dowiedziałem się, że ten pociąg jedzie do Krakowa przez Strzemieszyce Południowe. Znałem tę okolicę i postanowiłem wysiąść w Strzemieszycach i dalej udać się pieszo do Olkusza. Nie wiedziałem wówczas, że pociąg ten jedzie do Krakowa przez Olkusz – Tunel. Później wiele razy jechałem tym pociągiem do Miechowa i Krakowa. Był to taki „wahadłowy” pociąg jadący z Warszawy przez Szczakową – Bukowno – Olkusz – Tunel do Krakowa. Gdy pociąg zatrzymał się na stacji Strzemieszyce Południowe, wysiadłem i udałem się na drogę prowadzącą do Sławkowa. Miałem zamiar dojść do Sławkowa, gdzie mieszkała moja rodzina – tam przenocować a w następnym dniu pomaszerować dalej do Olkusza. Gdy przebyłem około sto metrów od torów kolejowych, nadjechały trzy furmanki załadowane węglem jadące w kierunku Sławkowa. Podeszedłem do jednej z tych furmanek i zapytałem młodego woźnicę dokąd jadą. Odpowiedział mi, że do Wielmoży. To jedziecie przez Olkusz – powiedziałem, a ten młody człowiek odpowiedział – tak i tam trochę postoiemy by napić konie. To może by mnie pan zabrał na tę furmankę, bo ja idę do Olkusza? Zatrzymał konie i odrzekł: „niech pan siada” i położywszy worek

z sianem na węglu pomógł mi wdrapać się na furmankę. Jadąc gawędziliśmy o tym i owym, a on wypytywał mnie skąd jadę i jak tam było w obozie. W rozmowie okazało się, że ja znałem jego ojca, który był Prezesem Związku Strzeleckiego w okresie międzywojennym, a ja byłem w Wielmoży na kontroli działalności Związku, gdyż pełniłem funkcję zastępcy Komendanta Powiatowego Związku Strzeleckiego w Olkuszu, a Związek Strzelecki w Wielmoży podlegał naszej Komendzie.

Rozmawiając i wspominając tamte czasy ani spostrzegłem jak znaleźliśmy się na rynku w Olkuszu. Zsiadłem z furmanki, podziękowałem woźnicy i przekazałem pozdrowienia dla jego ojca. Pierwszym ze znajomych którego spotkałem był Pan Henryk Schmidt, z którym pracowałem w Komendzie Powiatowej Związku Strzeleckiego w Olkuszu. Powitanie było bardzo serdeczne. Po krótkiej rozmowie udałem się w kierunku domu, który znajdował się przy ul. Miłej 10 w Olkuszu, na tzw. „Sikorce”. Gdy wszedłem do domu – w kuchni była tylko mama, która rozmawiała z panią Wałkową – matką kolegi ze szkoły i wojska – Mieczysława Wałka. Z Mietkiem byliśmy też razem w Oflagu II C. Mama przywitała mnie bardzo serdecznie i bardzo się ucieszyła. Pozostałych domowników nie było w tym czasie w domu. Pani Wałkowa wystąpiła do mnie z pretensjami – dlaczego nie przyprowadziłem Mietka do domu. Wyjaśniłem jej, że byliśmy ewakuowani w różnych grupach, a on wyszedł z grupą wcześniej i chyba ruscy go nie dopędzili. Wrócił on dopiero po dwóch latach, gdyż batalion, w którym szedł zdołał przekroczyć Odrę i w końcu znalazł się w rejonie zajęтым przez Aliantów. Tak oto w wielkim skrócie przedstawiłem swoje losy obozowe, aż do swojego powrotu do domu w dniu 26 lutego 1945 roku.